

ROCZNIK II. 1869. ZESZYT IV.

OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

(CIĄG DALSZY.)

IV.

Ofiara Lachów.

Dźwięk głosu, jakim był wymówiony wyraz „dziękuję“, jakiś niby magnetyczny wpływ wywarł na młodego lirnika. Wstrząsł się ciałem, rzucił głową i zmrużył powieki. Z pod powiek, zdawać się mogło na chwilę, że błysnęło spojrzenie; lecz gdy się otwarły, pokazały się na wierzchu białki oczów, pozbawione człowieczków, będących w organie zmysłu widzenia koniecznemi. Ojciec Nikon mówił do Ołeksy:

— Toć przecie, zamiast piernika, mogłeś z Szarogrodu przynieść parę niuchów tabaki...

— Ażeby wnuka wasza kichała, jak ta kotka, ta dziadowi złorzeczyła, że jej na kichanie zadał...

— To zdrowo na oczy... — wsunął ksiądz.

— Młode oczy i bez tabaki są zdrowe — odciął dziad.

— A co tam w Szarogrodzie słychać?...

— Wszystko dobrze... Ludzie się cieszą żniwami i drapią się we łby...

— Ta czego?...

— Ta tego, że żniwa mogłyby być jeszcze lepsze...

— Cur na nich!...

— I ja to mówię; a jak kto się skarzy przedemną, to mu powiadam: dziękuj Bogu za złe, bo może się przytrafić jeszcze gorsze... Ot, na ten przykład, niechby ino na tego, co się skarzy, ślepota spadła, toć dopiero byłoby czego się skarzyć...

Młody lirnik głęboko westchnął.

— A wy, zdaje się nie tutejszy?... — zapytał go ojciec Nikon.

Lecz przybylec nie miał czasu odpowiedzieć na zapytanie. Zagadał go Oleksa, który wstał z ławeczki i rzekł:

— Rozmówicie się z nimi, dobrodzieju, poźniej, a tymczasem każcie komu do wrót mnie odprowadzić, ażeby dziada psy nie rozdarły, bo to psy dziadów nie lubią, licho ich wie czemu...

— Odprowadzę ja ciebie sam... — odparł ksiądz — Zasiedziałem się, to trochę kościska rozprostuję...

— Wola wasza — rzekł dziad.

Ojciec Nikon wstał i dwaj starce powoli posunęli ku wrotom.

Przez ten czas młody lirnik począł się na siedzeniu kręcić. To szyję wyciągał i ucho nastawiał, jakby nasłuchiwał, to głową obracał, jakby się rozglądał. Rozglądać się nie mógł, bo był ślepy, jednakże ruchy jego wyrażały ciekawość, badającą to co go otaczało. To trwało póty, póki ojciec Nikon nie wrócił. Gdy był w połowie podwórka, przybylec się uspokoił, ręce złożył, głowę nieco na bok pochylił i przybrał minę, wyrażającą pokorę.

Ojciec Nikon, pochrząkując, ujął się ręką za słupek, i wzniósł się na stopień, który stanowił podniesienie ganeczka.

W tym momencie Jerynka poprosiła na wieczerzę. W tym także momencie muzyka w ekonomii odezwała się znowu.

— Ot, aż teraz dopiero będą tam tropaki i hopaki! — odezwał się starzec. — Jak ten Omelko gra, to mnie staremu ciarki za skórą łażą...

I zwracając mowę do przybysza, dodał:

— Toż ja myślę, co to się wam, młodemu, musi dziać, słysząc taką muzykę a nie mogąc wyskoczyć...

— Gdzie mnie tam do muzyki! — odparł Tanas Lasiński.

— Prawda... Ciężko was boża ręka dotknęła...

Lirnik głęboko westchnął i odpowiedział:

— Och! nie ślepota stoi mi na przeszkodzie, ale to, co jest powiedzianem w psalmie króla Dawida o mężu sprawiedliwym, że „nie postał w radzie, gdzie się schadzają grzesznicy, ni na ich drodze nogi swej kładzie“.

Ojciec Nikon pilnie a trochę z góry na niego spojrzał i rzekł:

— Chodźmy wieczerzać... Prosimy...

Wziął ślepego ręką pod ramię, przeprowadził przez sień do czeladnej izby, która służyła oraz za jadalny pokój, i posadził za stołem. Przystąpiwszy przez próg izby, przybysz zatrzymał się, i zwracając się twarzą nieco w prawo, przeżegnał się kilkakrotnie, pochylając się nisko za każdem przeżegnaniem. Za stołem znów się żegnał — i z apetytem zajadał szczypane kluski z mlekiem i pasternak ze słoniną. Za stołem siedziało osób sześć: ojciec Nikon, Jerynka, gość, parobek, stróż i dziewka. Jedli z jednej miski drewnianemi łyżkami, tylko osobna miska postawiona była dla gościa, i to dla tego tylko, że nie widział.

Przy wieczerzy jedynem staraniem gospodarza było nakarmienie przybysza. Zachęcał go do jedzenia i napominał wnuczkę, ażeby o nim pamiętała. Tanas parę razy zaczynał coś opowiadać, lecz za każdym razem ojciec Nikon zamknął mu usta następującemi wyrazami:

— Dwóch robót na raz robić nie można... Człowiek jak je, to nie może gadać... Jedźcież na zdrowie, a rozgadacie się poźniej...

Po wieczerzy odprowadził go na drugą stronę do świetlicy i posadził na tapczanie.

W świetlicy paliła się świeca łojowa w mosiężnym lichtarzu. Jernyka szybko uwinęła się z uprzątaniem. Ojciec Nikon zasiadł w krześle, ona z szyciem na stołku przy stole, podróżnik po cichu odmawiał modlitwy, od czasu do czasu wzdychając i niektóre wyrazy głośniej wypowiadając. Dodać należy, że to co zrobił na ganeczku, zrobił także i w świetlicy. Podczas kiedy gospodarz przed zajęciem swego miejsca kręcił się po izbie a wnuczka jego jeszcze nie była weszła, on twarz skierował na wszystkie kąty, jakby oglądał miejsce, w którem się znajduje.

Gdy się zdawało, że modlitwę zakończył, gospodarz domu w następujące go zagadnął słowa:

— Z daleka pan Bóg prowadzi?

Tanas głową pokiwał i odpowiedział:

— Ze świętych miejsc... — od Ławry, nad którą świeci przeczysta Matka Boża, od kijowskich pieczar, w których spoczywają zwłoki pańskich ugodników, od grobu świętej Barbary... Ojciec Akinfi świętym olejem oczy mi pomazał...

— Ojciec Akinfi?—przerwał starzec—to on w Kijowie?

— W Monasterze...

— Mój dawny znajomy, towarzysz młodości...

— Święty to człowiek... o! takich jak on jest królestwo niebieskie... Pomazał mi oczy świętym olejem, i za jego to zapewne sprawą, mnie grzesznemu, pokazała się Matka Boska i mnie, ślepcowi, kazała iść w świat.

Na te słowa Jerynka ręce opuściła, oczy od szycia oderwała i wlepiła je w opowiadającego.

— Kazała mi iść w świat, pomiędzy ludzi, co wierzą i czekają, ażeby im oznajmić, że bliskiem już jest panowanie prawdy na ziemi... że święta, prawdziwa błahoczynna wiara nie długo już będzie prześladowaną przez niedowiarków...

Ojciec Nikon milczał; Tanas ciągnął dalej:

— Ojcowie duchowni dali mi hramoty, a pomiędzy niemi jest i do was, ojcze wielebny, pisanie...

— Do mnie?... — zapytał ojciec Nikon tonem, w którym przebijało się lekkie zdziwienie.

— Do was... Was tam całe wyższe duchowieństwo w wielkiej ma czci i ojciec Akinfi kazał mi, ażebym się wam od niego pokłonił...

To mówiąc rozpiął skórzany pas i wydobył z niego kilka złożonych w kilkoro arkuszy grubego papieru, zapisanych kirylskim charakterem, pokręconym w titły i skrócenia.

— Jest tu hramota i pisanie do was... — rzekł rękę wyciągając — weźcie i obaczcie i to co do was, zachowajcie, a inne papiery mnie oddajcie...

Ojciec Nikon papiery wziął, z książki obok leżącej wyjął duże w mosiężnej oprawie okulary, włożył je na nos, podniósł głowę i rozkładając pisma jedno po drugiem, począł głośno czytać nadpisy. Jerynka wzięła się do szycia.

— Ot hramota — rzekł, odkładając jeden papier na stronę — a ot i pisanie do mnie... od kogo?

Poszukał podpisu.

— A! od ihumena motryneńskiego monasteru... To także stary znajomy...

Odłożył dwa te pisma na stronę, a inne wręczył Tanasowi, który je wsunął napowrót do pasa i pas na sobie zapiął.

— Cóż tam piszą?...

Czytał po cichu i głową kiwał i od czasu do czasu pod nosem pomrukiwał. Skończywszy czytanie złożył pisma i odezwał się pół do siebie:

— U nas tu, Bogu dzięki, spokojnie... My nikogo nie zaczepiamy i nas też nikt nie zaczepia. Trzymamy zakon, chwalimy Pana Boga i ludzie nam dają pokój.

— Tak, ojcze wielebny— odparł Tanas — ale napisano stoi w pismie, że jeden będzie pasterz i jedna owczarnia.

— My się tego spodziewamy i o to się modlimy — odpowiedział ojciec Nikon — i wierzymy, że ludzie na ziemi, gdy przyjdą do poznania prawdziwego światła, to staną się jedną wielką rodziną, której ojcem będzie ojciec niebieski, i że wówczas urzeczywistnią się słowa pisma o jednej trzodzie i jednym pasterzu.

Tanas zamikł i głowę opuścił, jakby te wyrazy sprawiły mu przykrość. Ojciec Nikon mówił dalej:

— Chrystus cały zakon wyraził prawem miłości. Miłość zwycięży; miłością przeto wojujmy a dójdziemy do światła...

— Ale Chrystus, wcielony Bóg—podchwycił przybysz — powiedział: jeżeli twoja ręka cię gorszy, odetnij rękę, jeżeli twoje oko cię gorszy, wyłup oko i wrzuć je do piekła, niech się spali w ogniu piekielnym.

Ojciec Nikon znów pilnie i nieco z góry spojrzał na młodego lirnika i nic mu nie odpowiedział. Po chwili zapytał:

— A od dawna wy w drodze?

— Od czterech miesięcy... Cztery już miesiące upływa od czasu, jak Matka Przeczysta prowadzi niegodnego sługę swego za rękę...

— A zkąd wy rodem, jeżeli wolno zapytać?..

— Z pod Kaniowa, ojcze wielebny... z pod Kaniowa, z nad Dniepru...

— Z waszych słów i z waszego ubrania widzi się, żeście z duchownego stanu...

— Z duchownego... Byłem już diakonem, przyjąłem wyświęcenie i byłbym dziś na parafii, gdyby nie dopuszczenie boże, które spadło na mnie z ręki wrogów naszej świętej wiary.

Głębokie westchnienie podniosło jego pierś. Jerynka oczy od szycia oderwała. Ojciec Nikon po chwilce milczenia odezwał się:

— Mnie się zdawało, że kalectwo wasze jest od urodzenia.

— Och! nie... O! moje kalectwo...

Podniósł ręce do góry i podniesionem mówił dalej głosem:

— Moje kalectwo jest wiecznem widzeniem tego, na co po raz ostatni w mojem życiu moje oczy... patrzały... och! ja nie byłem zawsze ciemny... ja widziałem, ale wolałbym był nie widzieć od urodzenia. Lachy zamordowali mi ojca, matkę, brata, siostrę i odebrali mi wzrok... Patrzyłem na męczarnie, w jakich oni konali i... oślepłem!...

Starzec poruszył pod sobą krzesło; Jerynka zbladła i oczy w przybysza wlepiła.

— O! straszna to była chwila...

— Chybać was hajdamacy napadli — wsunął starzec.

— Hajdamacy?!... oj! hajdamacy tak nie zbytkują się nad ludźmi... Byle pieniądze zabrali, to o resztę im nie chodzi, przynajmniej duszy nie gubią... Bo nie ten jest wrogiem człowieka, co zabiera dostatek, ani ten co życie odbiera, ale ten co duszę gubi... Takiemu, według pisma, należy się kamień u szyi uwiązać i na dno głębokiej wody rzucić... Od takich, niech nas zachowa ojciec niebieski i syn jego, co za nas grzesznych dał się umęczyć, i Duch święty, co nas oświeca, i Matka Boska, co siedm mieczów miała w swojem łonie... Ach! od takich uchowaj nas Boże! a takimi są Lachy...

— Ej!... może się tam koło Kaniowa znalazła takich szajka? —podchwycił ojciec Nikon—przecież wszyscy takimi nie są.

Te wyrazy wymówił starzec dla zaspokojenia własnego sumienia, a raczej dla zneutralizowania w sobie samym tej zgrozy, jaką go opowiadanie ślepego napełniło. Nietylko bowiem sama rzecz była przerażającą, ale jeszcze i sposób opowiedzenia, ton mowy, dźwięk wyrazów, w których, w każdym z osobna brzmiało coś, jakby huk pożogi, pochłaniającej serce mówiącego. Zdawało się, że się mu w piersi paliło i przez usta, w wyrazach, wydobywał się ogień, który on tłumił w sobie. Tego rodzaju ludzie wywierają na słuchaczy silne wrażenie. Takim być musiał Piotr pustelnik, co bose tłumy poprowadził na pierwszą wyprawę krzyżową.

— Nie wszyscy! — zawołał Tanas. — Ojcze wielebny! Czyż nie wszyscy oni prześladują naszą prawdziwą wiarę? Nie wszyscy? A toć wszyscy powinniby podnieść się jak jeden człowiek i ukamienować tych, co żydom cerkwie w arendę wypuszczają...

— U nas się to nie zdarzało...

— Bo na was jeszcze kolej nie przyszła, ale obejrzyjcie się tylko do koła... Wszędzie unia... Kto to sprawił?... Czy to nasz naród, sam dobrowolnie, poprosił Lachów, aby jego popom brody pogolili i pod rzymskiego papieża ich poddali? Czyż to nie Lachy zrobili? A czyż mogliby oni tego dokazać, gdyby się naród nie bał, ażeby się nad nim nie znęcali?... Ot przyjął przeklętą unię, ale nie wszystek... Znaleźli się bogobojni pasterze, co powierzone im od Boga trzody od zarazy ustrzegli, i oni tych pasterzy prześladują... Posłuchajcie, opowiem wam, jak zaprzepaszczoną została moja biedna rodzina...

Jerynka od dawna już nie szyła. Robota leżała jej na kolanach, igła z rąk wypadła, o ona sama zmieniła się w słuch. Z wytężoną uwagą połykała każdy wyraz, z ust przybysza wychodzący, i oka z niego nie spuszczała.

Ślepy lirnik ciągnął dalej:

— Popytajcie ludzi, w okolicach Kaniowa, o Teofila Lasińskiego, mego ojca, który był popem, tak jak wy, ojcze wielebny, siedział na wiosce, zakonu swego strzegł i jak to mówią, wody nikomu nie zamącił... a miał poważanie i pomiędzy narodem i u starszych... Do ojca mego raz wraz nałazili Lachy i raz wraz mu w uszy kładli: „przyjm unię, zrobimy cię biskupem..“ „Na co mi wasze biskupstwo? — odpowiadał im mój ojciec; wolę ja moją parafię, na której w dostatki nie opływam, ale duszy nie zaprzepaszczę...“ Oni wciąż nałazili i wciąż jedno prawili... on im wciąż odpowiadał... Aż poczęli grozić: „ej przyjm, bo będzie źle...“ A on im na to: „ja tylko tego patrzę, aby mi dobrze było na tamtym świecie!...“ Grozili, aż razu pewnego, będzie temu rok na święto Uspenja Bohorodicy, przyjechał szwargonisty (zapewne „szwadronista“) z komendą i z rozkazem: „Przysięgaj na unię!“ — „Nie przysięgnę!“ — „Przysięgaj!..“ — „Ba nie przysięgnę...“ — „My ciebie zmusimy...“ — „Bijcie mnie, rznijcie po kawałku, a ja mojej wiary nie odstąpię, mego Boga nie zdradzę...“ Zawołał nas wszystkich, i my wszyscy, moja matka, ja, mój brat młodszy i moja siostra maleńka, stanęliśmy za ojcem i głośno się modlili... A oni, bezecniki, naradzali się i rozdzielili nas, powiązali i każde z osobna bili a powtarzali: „przysięgaj na unię!“ Żadne z nich przysięgać nie chciało, ani nawet moja maleńka siostra, dziecko, co miała lat ośm... och!..

— Och... — westchnęła i Jerynka. Ksiądz brwi namarszczył i w milczeniu słuchał.

— Przez trzy dni nas trzymali... A był z nimi ksiądz unicki, który się ubrał w skórę lisa i jak szatan kusił... Układał się duszogubca, namawiał i prosił... Lecz nad nami czuwał Duch święty i aniołowie pańscy, i ani nas lackie katowania zmusiły ani szatańskie namowy skusiły... Po trzech dniach zebrali nas znowu razem i mówią do mego ojca: „chcesz aby dzieci twoje w męczarniach nie konały, to przysięgnij...“ A ojciec im na to: „jęki nasze słucha Bóg i łzy nasze liczy...“ Oni do mnie: „ratuj ojca i siebie, przysięgaj...“ Ja im na to: „my ratujemy dusze nasze, a ciała nasze w waszych są rękach, róbcie z niemi, co chcecie...“ Oni jeszcze przedstawiali wszystkim razem i każdemu z osobna, a ksiądz unicki czekał z krzyżem i ewangelią, ale czekał nadaremnie... A wszystko to się działo na podwórku w probostwie... Naród się zeszedł i patrzał z daleka, kobiéty głośno płakały... Wówczas oni naniecili wielki ogień na środku podwórza... O! takim ogniem będą ich w piekle palili... Naniecili ogień i porwali moją siostrę, dziecko ośmioletnie.

Tu przerwał opowiadanie, jakby mu tchu w piersiach zabrakło i przez chwilkę w izbie panowało milczenie. Po chwilce, wznosząc ręce do góry, zawołał:

— Matko Boska, daj mi siłę opowiedzieć to, na co ostatni raz w życiu patrzałem... Straszne to rzeczy!.. Porwali biedne dziecko i ich starszy krzyknął do nas wszystkich: „przysięgajcie! a nie, to ta dziewczyna w ogniu się spali...“ My na to nic... Porwali ją, rozebrali, jeden wziął za nogi, drugi za głowę i nad ogniskiem wyciągnęli...

Jerynka porwała się dłoniami za czoło. Ojciec Nikon głośno chrząknął i zęby zacisnął.

— Te żałobne jęki, jakie wyszły z piersi mego ojca i mojej matki, mego brata i mojej i całego narodu, ten krzyk boleści, jakim się poskarżyła niewinna ofiara, poruszyłyby tygrysów... Naród się ruszył, chciał bronić, lecz szwargonisty krzyknął: „ognia!“, i żołnierzy z muszkietów strzelili... Nie wiem, czy kogo zabili i ilu poranili; słyszałem jęki, ale je głuszył jęk boleści mojej siostry, który słyszę dziś jeszcze... Słyszę skwierczenie jej ciała... Och! Boże...

Jerynka płakała. Ślepiec ciągnął dalej:

— Nie długo to trwało... Bóg snadź w miłosierdziu swojem chciał skrócić jej męczarnie... Krzyknęła raz przeciągle, przeraźliwie... Zamilkła raptem i szwargonisty zawołał na katów: „No! cóż?“—„Zdechło szyzmatyckie szczenię...“—„To rzućcie je w ogień, niech się do reszty spali...“ I przystąpił do mego ojca i mówił: „widziałeś?... to samo czeka twoich synów i twoją żonę, jeżeli nie przysięgniecie na unię...“ — Ojciec mój był blady... Nic mu nie odpowiedział, tylko słowami Chrystusa Pana głośno się do Boga modlił... Oni poczekali przez chwilę i porwali mego brata... Chłopczyna dłużej się męczył... kurczył się w boleściach nad ogniskiem, w którem się dopalały resztki ciała siostry, lecz w końcu skonał... Wówczas przyszła kolej na mnie, ale szwargonisty nie kazał mnie brać; przystąpił do mnie i powiedział: „ratuj ojca i matkę, przysięgnij na unię a włos im z głowy nie spadnie...“ Ale mój ojciec krzyknął: „przeklnę ciebie na wieki wieków, jeżeli zdradzisz Boga twego!“ I oni porwali moją matkę... Biedna kobiéta! nie jęczała ani się skarżyła, bo od śmierci córki była już bez przytomności i pamięci... Nie wiem nawet czy żyła... Wzięli ją, rozebrali, rozciągnęli i spaliła się jak świeczka... Ale ojciec mój długo się męczył... Och! bo też zbytkowali się nad nim... Osmalali mu najprzód brodę i włosy i potem zdaleka nad ogniem trzymali... zbliżali to oddalali i naigrawali się... „Dziękuj nam — mówili — nie będziesz się w piekle palił; będziesz się tylko w smole smażył, boś szyzmatyk, dyzunita...“ I trójramiennym krzyżem po głowie go bili... A on się wciąż modlił, a on wołał do Boga i prosił go o prędszą śmierć... I w końcu śmierć przyszła...

Zamilkł i głęboko westchnął. Jerynka szlochała.

— Oto, jakimi są Lachy... Mnie po śmierci ojca rozpalone żelazo przed oczami trzymali... Czułem straszny ból; czułem jak mi oczy nabiegły i przestałem widzieć... Wówczas oni mnie rozwiązali i wolno puścili... „Idź — mówili — opowiadaj ludziom, jak kończą ci, co są w szyzmie zakamieniali...“

W izbie na długo zapanowało milczenie, a ciszę mącił płacz Jerynki, dygotanie zegara i odgłosy wesołej muzyki, które wraz z tupaniem tancerzy po wsi się rozchodziły i stanowiły rażący kontrast ze straszną powieścią, którą ślepy lirnik opowiedział. Milczenie trwało długo. W końcu ojciec Nikon je przerwał:

— Zapewne — rzekł — od człowieka można wymagać, ażeby krzywdy przebaczył, dla tego, że ją przebaczył wrogom swoim Chrystus, ale dziwić się nie można, jeżeli na przebaczenie zdobyć się nie jest w stanie... Ja się też wam nie dziwię... Kto tak ciężko, jak wy, został pokrzywdzony, temu pamięć krzywdy serce podnosi... Lecz nie zapominajcie o tem, że to co was spotkało, jest wypadkiem pojedyńczym...

— Pojedyńczym!? — podchwycił Tanas. — A nie słyszeliście ojcze wielebny, nic o Tytorze z Mliowa, którego Lachy za ręce na wierzbie powiesili, konopianym smołą napojonym postronkiem obmotali i zapalili... i za co?... oto za to, że jeździł do protojereja, do Perejasławia... O! nie jest to wypadek pojedyńczy...

— A przecież u nas o takich okropnościach nie słychać...

— Bo jeszcze kolej nie przyszła...

— Bywają zajścia, w Ostrogu, w Łucku, ale najczęściej po miasteczkach, gdzie jeden obrządek z drugim łokciami się szturchają... Ale po wsiach cicho... I gdyby nie paliwody, co nieraz po pijanemu sprzeczki zawiązują, to i po wsiach byłoby cicho...

— Bo jeszcze kolej nie przyszła...—powtórzył Tanas— Lachy zaczynają od brzegu, od Dniepru, dla tego, że na tamtej stronie rzeki błahoczynia panuje... A jak skończą nad brzegiem, to się wezmą do środka... Oni głośno o nas prawosławnych powiadają: „Co to! na naszej ziemi żyją, a błahoczestywego monarchę wspominają.“

— Otóż to jest całem nieszczęściem— podchwycił ojciec Nikon — wspominanie błahoczestywego monarchy... Nie błahoczestywa wiara, ale wspominanie obcego monarchy jątrzy Lachów... Im się zdaje, że tu chodzi o wiarę, i nam się to samo zdaje; a to nie o wiarę chodzi, ale o to, że obcy monarcha do nas się wtrąca... Gdyby nie to, i prześladowaniaby nie było... Ot, czemu to naprzykład, dają



Ach! od takich uchowaj nas Boże, a takimi są Lachy. (str. 99).

pokój Tatarom, co pomiędzy nami mieszkają? Tatarzy sobie bez najmniejszych przeszkód chwalą Boga po swojemu, bo nie oglądają się ani na Bahczysaraj ani na Stambuł, bo pomiędzy nich han ni sułtan nie przysyła imanów, coby, jak katolików jezuici, jak błahoczestywych inoki i różni inni posłańce, bałamucili i na szkodę rzeczypospolitej namawiali... i braci na braci, inaczej tych psów, szczuli... A cóż to, Lachy? a cóż to, my? czy to my nie jednej i tej samej matki dzieci?... A cóż to błahoczestywy car? czy to on się nie oderwał od carogrodzkiego patryarchy i czy wspominanie jego nie jest szyzmą w prawosławnym kościele? My, prawdziwi prawosławni — tu starzec dłonią pierś swoją przycisnął — nie mamy nic spólnego z błahoczestywym carem, co w Moskwie panuje... Głowa naszego kościoła w Carogrodzie; naszą ojczyzną rzeczpospolita polska, którą wybierali nie my, ale Bóg ją nam dał... Więc ojciec waszmości, matka, brat, siostra i mliowski Tytor cierpieli i zginęli nie za wiarę, ale za to, że... wspominali moskiewskiego cara, że do Perejasławja chodzili... że na szkodę rzeczypospolitej godzącym namowom ucha dawali... Draźnili Lachów, i ci się wściekli i we wściekłości oślepli. Bóg ich za to pokarze... — tu rękę podniósł i palcem groził a brwi na oczy nasunął — ale ten sam Bóg, w sprawiedliwości i mądrości swojej, nie przyjmie, jako cierpienia za wiarę, cierpień, co z nieczystego wypłynęły źródła... Powinniśmy prosić Go, aby przebaczył tym, co nie wiedzą co czynią, i za grzechy nasze, za naszą ślepotę, nie karał... ojczyzny...

Podczas, kiedy ojciec Nikon mówił, lirnik powieki przymróżył i z boku mu się przypatrując, mogło się wydawać, że zagłębił wzrok w oczach starca, którego słowa zaprawione były zapałem. Czoło lirnika było zfałdowane, policzki mu drgały, usta miał ścięte i wisiało na nich coś, nakształt sardonicznego uśmiechu, zarysuwującego się przez pół. Jerynka przestała płakać i także oczy na starcu zazawiesiła; lecz nie widać było po niej, ażeby rozumiała, co dziadek mówi. Jakoż, rzeczywiście, nie rozumiała. Opowiadanie lirnika za zbyt silne na jej umysł i na jej serce wywarło wrażenie. W uszach jej brzmiały jęki ofiar i skwierczały palące się ciała, w duszy wyło ponure echo zgrozy. Więc słuchała dziadka mechanicznie i trzymała na jego poważne oblicze zwrócony wzrok bezwiednie, bo to co lirnik o początkowych zabiegach Lachów, namawiających jego ojca do przejścia na unię, opowiadał, było powtórzeniem tego samego, czego jej dziad ze strony tychże samych Lachów przed kilkunastu laty doznawał. Wiedziała ona o tem z opowiadania. Historja jej dziadka podobną była w początkowej swojej połowie do historji lirnikowego ojca. Kiedy przeto lirnik powiedział „bo na was kolej jeszcze nie przyszła,“ zadrżała całem ciałem. Dziwne zimno przejęło ją na wskróś. Złowrogie przeczucie opanowało serce; skrystalizowało się w pytaniu:

— Któż zaręczy, że druga połowa historji nie spełni się na moim dziadku, jak się spełniła na ojcu lirnika?

Pytanie to, w całej swojej grozie, opanowało wszystkie władze jej duszy i zapełniło wszystkie komórki jej serca i tak ją zajęło, że nie była w stanie słyszeć i zrozumieć, co staruszek mówił. Słuchała, dźwięki wyrazów obijały się o jej uszy, każdy z osobna wyraz, każdą sylabę rozróżniała, lecz sensu schwycić nie mogła. A widząc dziadka w zapale, mniemała, że ten zapał był wyrazem tej samej zgrozy, która i ją przejęła, tego samego oburzenia na Lachów — katolików-unitów — jakie ją dreszczem napełniało.

Starzec skończył, ręce złożył na kolanach i głowę zwiesił. Zdaje się, że mówienie, a właściwie uniesienie się w mówieniu, znużyło go. Jerynce się wydało, że go zmogły smutek, rozpacz i poczucie bezsilności wobec propagatorów katolicyzmu. Zrobiło się jej żal starca, którego uważała, jako przeznaczoną na całopalenie ofiarę. Coś ją ze stołka podniosło i na kolana przed nim rzuciło. I zapłakała w głos, tuląc głowę do kolan staruszka.

— Dziecko moje — przemówił ten ostatni, nachylając się nad nią i dłoń jej własną pod brodę podkładając. Głos jego był pełnym łez. — Co ci jest?

— Dziaduniu — odrzekła po chwili — pójdziemy w ogień za wiarę...

— Jeżeli będzie potrzeba — odparł dziadek.

— Pójdziemy razem... Niech Lachy przychodzą...

— Ależ nie bądź dzieckiem!

— O!... ja nie dziecko, dziaduniu...

— Uspokójże się... Nic się nam złego nie stanie...

— Nie uspakajajcie mnie... Ja nie dziecko... Potrafię wszystko przenieść i wstydu wam nie zrobię.

— Czegoż płaczesz?

— O!... już ja nie płaczę... o...

Podniosła się, łzy otarła i dziadka z pokorą w rękę pocałowała. Ten obiema dłoniami wziął ją za głowę i usta jej do czoła przycisnął. Jeszcze raz głucho westchnęła; lecz się natychmiast wyprostowała.

Sarkastyczny półuśmiech znikł z ust przybysza, powieki się mu rozeszły i znów patrzał białkami, co w półświetle łojowej świeczki nadawało mu półtrupi pozór, budzący mimowolnie uczucie wstrętu. Lecz on w Jerynce wstrętu nie budził. W jej oczach ten przybysz nie wiedzieć zkąd, był sierotą, otoczonym aureolą męczeństwa, był posłańcem Matki Bożej. To też, gdy się wyprostowała, natychmiast zwróciła wzrok na niego i patrzyła z uczuciem głębokiego współczucia. Czuła do niego wdzięczność za to, że ich ubogi domek nawidził. Kolana się pod nią uginały. Gotową była modlić się do niego, jako do wybrańca pańskiego.

Nasze kobiéty mają dla cierpienia cześć. A Tanasiński był wcielonem cierpieniem, noszącem ze sobą

nierozłącznie jedyne wspomnienie strasznego widoku, jakim światło dzienne pożegnał. Jakże Jerynka miała nie być modlitewnie dla niego usposobioną!

Stała i patrzała się na ślepego lirnika i byłaby patrzała Bóg wie jak długo, gdyby dziadek jej nie przerwał.

— Jutro do świta — rzekł do Tanasa — odprawię w cerkwi akafes i wspominek za duszę rodziców i rodzeństwa waszmości... Będziemy prosili pana Boga, aby dał upamiętanie i prześladowcom naszym i nam, aby nam pozwolił przejrzeć jasno w tych ciemnościach, co nas otaczają dokoła, i w których my, jak te ćmy, lecimy na światło, które nam wrogi nasze zdaleka pokazują, i palimy się.

Głową rzucił i ręką gniewnie machnął.

— Dziękuję wam, ojcze wielebny — odparł Tanas głosem głębokiej pokory — niech wam Matka Boża wynagrodzi za modlitwę, którąście mi obiecali.

— No! — przerwał ojciec Nikon— a teraz, pora spać... Waszmości, myślę, nie będzie niedogodnie w stodole na sianie...

— O! gdziebądź... Ja człowiek wędrowny, nie znam się z miękkiem posłaniem... Nieraz sypiam w szczerem polu...

Zawołał ksiądz parobka, kazał mu wziąść gościa za rękę i odprowadzić do stodoły. Lecz trzymając się pra-

wid i k w c

i kiedy do gołębnika dochodzili, nagle noc zmieniła się w dzień. Niebieskie zjawisko wybiegło na horyzont, zakreśliło łuk, trysnęło milionem spadających gwiazd i znikło,

śliło łuk, trysnęło milionem spadających gwiazd i znikło,
pozostawiając po sobie szum i huk. W niemym przestrachu, jakby skamienieli, zatrzymali się przy gołębniku, ksiądz, Jerynka, parobek i Tanas. Ten ostatni, choć ślepy, a — zdaje się — widział. Tak stali przez chwilę; przestrach mowę im zatamował. Wreszcie pierwszy przerwał milczenie ojciec Nikon:

— Niezbadanemi są wyroki boskie a świętą jest jego wola. Bez jego woli włos nam z głowy nie spadnie. Panie... Panie... zlituj się nad nami, co wobec ciebie jesteśmy mizernem robactwem, i nie odwracaj od nas oblicza Twego...

Na to odpowiedział Tanas:

— W tamtej stronie, w której się ta ognista rózga pokazała —- chybaż on ją widział, pomimo ślepoty — przebywa błahoczestywy car, zastępca Boga na ziemi... „słuszajte jazyci i pokoriajtesia“... On krzywdy wynagrodzi, złe ukarze i panowanie prawdy sprowadzi... Nie dalekim jest czas...

Odszedł z parobkiem. Ojciec Nikon i Jerynka, zamyśleni, powrócili na probostwo. (Dalszy ciąg nastąpi.)

DZWON ZYGMUNTÓW.

Zamek co skałę obsiadł smoczą,
Pod niebo czarną wyniósł wieżę,
Podeń się miejskie domy tłoczą,
A ów by ojciec dziatwy strzeże;
U nóg mu polska rzeka sławna,
Poszumna Wisła zbożopławna,
A fale onej ni to kmiecie,
Garną się pod tę zamku skałę,
Modre, to siwe, to raz białe,
I w dal wesoło rwą po świecie.
A słonko boże świat weseli,
I śnieg od skrajnych Tatr się bieli.

A w mieście naszem gwar nielada,
Świecidła Niemczyk swe rozkłada.
To Serb pod bramą gdy zasiędzie,
Na onych wdzięcznych gęślach gędzie.
Tam miodu kipi złoty wrzątek,
Gdzie orszak wiedzie się swadziebny,
Tam jedno piątek czyli świątek,
Naród się garnie na targ chlebny,
Jako to szczery skarb Lechicki,
Ta sól Wielicka — chleb prądnicki.

Tu pański kozak oczajdusza,
Na Ukrainę z listem rusza.
Tam kędy żaki a doktory,
I trybunalska stawa rzesza,
Stańczyk swój kubrak różnowzory,
A swoje sceptrum śmiechu, wmiesza.
Temu i temu coś przymówi,
Co choćby rad człek nie odpowie.
Nawet i króla Ichmość gładko
Obdarzy swoją kratką, łatką.
Jako to w Polsce wolne słowo,
Byś jeno sam nie podrwił głową.
A k' temu żeć już w błaznów cechu,
Żeby dworować aż do śmiechu.

To Włoszek wdzięczną brzęknie mową,
W weneckim stroju kawka szczera,
Co go weneckim diabłem zową,

A kmieć nań z trwogą się obziera.
Niemieckie mieszczan krasne stroje,
Wymyślne wiere dziwne szaty,
To żółte łaty, czarne łaty,
I ni to czepce, ni zawoje.
A w mięsopustnej tej czeredzie,
Co się na zamek gwarnie tłoczy,
Skrzydlaty w pośród husarz jedzie,
Zbroica lśni aż razi oczy,
I tak we skrzydłach na gród zmierza
Pół orła wrzkomo pół rycerza!

Nad miastem zamek siadł Wawelski,
Gdzie gospodarzy król tej ziemi,
A w rynku pani dom anielskiej,
Pomiędzy dziećmi stanął swemi.
Marjacka wieża w środku miasta,
Jakoby dolin kwiat wyrasta.
A pod jej boki za jej kraty,
Kamienne legły antenaty.
Z kościelnych wieżyc na świat cały
Co ranek wdzięczne grzmią hejnały.
I świat to jakiś taki naszy,
Taki serdeczny, taki laszy,
Taki rodzinnej pełen woni,
Za nim jaskułką serce goni.
I błoga ci ta błoń rumiana,
I błoga ci ta woń węglana;
I takbyś wiatru w piersi chwytał,
I tak ci Polska w serce wchodzi,
Żebyś tych starych z głazów pytał:
Jako poczciwym żyć się godzi?

A król w tęż dobę gdzie się dziewa?
Do kuźnic chadza do płatnerskich,
Doziera mocnych zbroj rycerskich,
Żelazne smoki też odlewa.
I nad graniczne wody góry,
Nieprzełomione wznosi mury.

Bo choć kraj na to ma urzędy,
Przecież król Zygmunt wejrzy wszędy.

Gwarkowie czarne łamią skały,
Huki a szczęki w górach młota,
W rękach aż pali się robota,
W oczach się szumne wznoszą wały.
A zboża w pas, bo wróg nie grabi,
A skrzynie pełne, spichrze pełne,
Wszystko od złota i jedwabi,
I najuboższy odzian w wełnę.

Niewiasty w szubach, w drogich lamach,
Po murach zacne malowidła,
I Jagielloński orzeł w bramach,
Złociste swoje rozpiął skrzydła.

Starego króla to zabawa:
Nocy nie dośpi, do dnia wstawa,
Zanim na jutrznię brzękną dzwony,
Już król w kaplicy swej zamkowej,
Złoty mu czepiec świeci z głowy,
Bogdaj kościoła dar ceniony.
I ta największa w Polsce głowa,
W onym się złotym czepcu chowa.

To jeszcze będzie dobrze szaro,
A ona służba wierna boża,
Już widzi króla głowę starą,
Jak się tam Bogu upokorza,
Jak schodzi stary pan okryty,
Z kruzganków z lampką w przedeświty.

Ktemu ta straszna jest powaga,
Kiedy król tak Boga błaga.
Więc różne myśli przejdą człeka,
Bo to tam sądów naród czeka.
A kto chcesz wiedzieć, gdzie w tej dobie
Król Jego miłość gościć raczy,
Ku grodzkiej bramie daj czas sobie,
A pewnie pana tam zobaczy.

Wrą tam żelaza w ogniach piecy,
Ognistą się staczają rzeką,
Kędy gisery kruszce wleką,
Nieczułe obnażywszy plecy.

I owo Lechii król łaskawy,
Ojców cnoty dziedzic prawy;
Nie wielomówny, krótki w rzeczy,
Lecz gdy chcesz doznać wagi słowa,
Tobyś brał próbę starych mieczy,
Którym dziś równych nikt nie kowa.

Więc w dymach, co z tych pieców dymią,
U cnej giserskiej tam roboty,
Zobaczysz ojca czepiec złoty,
I najpierw cię się strachy imią.
Alić gdy wzrok się z onym spotka,
Synowsko serce się rozczula:
I wdzięczna myśl przybywa słodka:
Że nam Bóg zdarzył tego króla..
I też otucha wnet cię bierze,
Że ten poważny pan spokojny,
Czasu pokoju, czasu wojny,
Ciebie i twoje dziatki strzeże.
I k'mieczu żwawo schylisz czoła,
Gotowość znając gdy zawoła.

Przy królu biskup kanclerz stawa,
Rada i króla ręka prawa.
Ostrogski książę, Jan z Tarnowa,
I drugie męże kołem staną...
Rotmistrze, które król ten chowa,
We zbrój przywdziane szmelcowaną.
A pióra wielkie im żórawie
Po dwakroć hełm przechodzą prawie,
Oprawne skrzydła z bark śrebrzeją,
A z oczu chuć im skrzy marsowa.

I owoż dzwonu forma nowa,
A w nią gisery brązy leją;
Więc każdy k'większej chwale bożej
Do onej pracy się przyłoży,
Gdy król te godne słowa rzecze:
We dzwonie tym niech wiek mój gada.

I pancerz srebrny z piersi zwlecze,
I owy pancerz w ogień wpada,
Co dłutowanym swym obrazem,
Na tej szerokiej piersi drogiej,
Nim król uderzył wręcz żelazem,
Chmurą lecące płoszył wrogi;
Pancerz na który patrząc z chlubą
Lud prawił: Oto Lesin w zbroi,
A kto tę złamie zbroję grubą?
A kto nas bracia gdyśwa swoi?

Takiego świadka spraw półwieka,
Z rycerskiej piersi Zygmunt zwleka,
I w płomień pieców tam czerwony,
Zapada srebrny pancerz ony.
A kiedy w rzece ognia spłynął,
W przejasne się rozchodząc smugi,
Hetman co w radzie króla słynął,
Przez cały wiek Zygmunta długi,
Do boju miecz, do rady głowa,
A w pracy pola nie zależał,
A w bitwach to mu kark się zjeżał,
Jakoby lew nie Jan z Tarnowa —
Człek niewściągnionej w boju ręki,
Ale po boju dziwnie miękki,
Jan na wieczystą rzeczy sławę,
Do ognia wmiotał swą buławę.

Ostrogskie zaś to orle nasze,
Jak stał we zbroi hecowanej,
Od bioder ciężki miecz odpasze,
Licznemi karby karbowany;
A każdy szczerb to pękła zbroja,
To tryumf Polski, sława twoja,
To krew Moskala i Tatara,
To męża tego moc i wiara;
Miecz co na Moskwie trwogi wznieca,
I hordy pędzi w smycz zuchwałe,
Ten ciężki miecz — żelazo białe,
Ostrogski rzuci w żary pieca.

Toż biskup kanclerz wmiótł pastorał,
A kmieć ubogi z polskiej roli,
Królowi panu swemu k'woli,
To radło, którem kraj oborał.
I wyszedł z formy dzwon nad dzwony,
I był na imię króla chrzcony.
I herby na się wziął koronne,
Które wywiesza król tej Laszy:
Orła co wszelkie ptactwo straszy,
I z mieczem w zbroi chłopię konne.
A gdy uderzył król weń młotem,
Doświadczyć rady brązu głosów,
Alić mu dzwon odpowie grzmotem,
I aniołami od niebiosów.
Aż się zadumał starzec złoty;
A jeśliś wiedzieć rad powodu?
Owoż że taki głos miał z młodu,
Gdy po granicach wodził roty,
I w bój je puszczał dzierząc w mierze,
W czuwaniu dobrze, w noce we dni,
By lew co gruby zwierz sam bierze,
A dziatki swe szczwa na pośledni.

I rzekł zwracając twarz rzewliwą,
Tej naszej Polski cny gospodarz:
Panie, my szli na twoje żniwo,
A teraz ojcze cóż nam podasz?
I patrzał w zwyż z hetmany swemi,
Z poważnem wielkich mężów gronem;
Kmieć jeno chudy padł do ziemi,
Czołem w nią bijąc uniżonym,
I zdał się wołać jękiem szlochu:
Ty rzucasz w proch, i wznosisz z prochu.

I na świątnicy zamku wieżę,
Która stolicy pańskiej strzeże,
Kazał król setce swych pachołów,
Aby ruszyła dzwonu z gruntów,
I założono sto par wołów,
I podniesiono dzwon Zygmuntów.
A kiedy biskup ręką skinie,
Żelazne serce się rozhula,
I huknie dzwon jak serce króla,
I pieśnią w niebo się rozpłynie.
I lecą głosy na Tatr grzbiety,

Na Czarne morze, Bałtyk siny,
A kto dziś spiewa wielkie czyny
Zygmuncie królu nasz, gdy nie ty?
Tyś nad krakowskim swoim grodem,
Gdy na kraj zlecą się morderce,
Po wiek nad wiernym swym narodem,
Żelazne swe zawiesił serce.

A kto w tej dzwonu złotej dumie,
Zygmuntów wiek wysłuchać umie;
A kto zrozumie czem król stary
Swe imię lał złotemi głoski,
Czem nawołuje wciąż do wiary,
Od czterech wieków dzwon krakowski: —
Taki i pokój będzie chował,
I ojcom hołd synowski złoży,
I ziemię będzie swą miłował,
I grób ojcowski i dom boży.
Ten ojców dróg się dowie z dzwonu,
Tchnienie go boże przejdzie wskrośnie,
Duch się w nim wzmoże i rozrośnie,
I będzie wierny aż do zgonu.
Żyw chodzić będzie po zakonie,
TAKA JEST CNOTA W STARYM DZWONIE.

O! Janie ojcze polskiej pieśni,
Jakież to czasy dusza nie śni,
To gdy się serce k'nim dostroi,
W tej czarnoleskich lip ustroni,
Może cień ujrzę skroni twojej,
Jak tam opiera się na dłoni.

I może uśmiech twój dopatrzę,
Że wiek Zygmunta wiek bogaty,
W takie oblekam proste szaty —
Cóż kiedy niestać na bogatsze.

I ja z mą pieśnią idę w lasy,
A serce bije jak we młoty,
Lecz takie pieśni, jakie czasy,
Tyś widział wiek Zygmunta złoty...

Florencya 1869 r.

Teofil Lenartowicz.

(Jestto wyjątek z nieznanych jeszcze poezyi tego znakomitego wieszcza ludowego, które wkrótce przyniesie „Biblioteka narodowa").

ZAPISKI ETNOGRAFICZNE.

„Najpowszechniejszemi i zarazem najsilniejszemi z węzłów, wiążących ludzi jednego narodu, są: język, wiara i prawo; oneto łączą ludzi w ludy, i dlatego też są punktem wyjścia i głównem źródłem wszelkiego etnograficznego badania.

Fr. Henr. Lewestam. Pod wyrazem: Etnografia w Enckl. pow.

I.
SĄDY CZARNOGÓRSKIE.

„Ko se neosweti, taj se ne posweti"
(Kto się nie pomści, ten się nie poświęca).
Przysłowie Czarnogórców.

Obyczaj sądowy kraju. — Przemowa Władyki. — Skarga. — Replika i spór sądowy w sprawie o porwanie, morderstwo i wojnę domową. — Wyrok. — Przysięga. — Pojednanie stron przeciwnych.

Cetinja *(Cettigne)* [1]) jest stolicą rządu i środkowym punktem administracji Czarnogórza; tu zbiera się senat, rozpoznawający sprawy polityczne i sądowe kraju, który składa się z dwunastu członków, starców z siwym włosem, poważnem i surowem obliczem.

15 października 1838 r. zebrali się senatorowie w sali swoich obrad i zasiedli na małych drewnianych zydlach, ustawionych w około obszernego ogniska. Po nad ich głowami powiewały chorągwie rozmaitych gmin, na które kraj jest podzielony.

W orszaku, odróżniającym się czerwoną chorągwią, na której wyszyto złotemi literami wyrazy: Sawo-Marków-Petrowicz, stał poważny starzec. Jego wielkie czarne oczy,

[1]) Całe zabudowanie tego miasteczka, jeźli tak można nazwać Cetynją, stanowią: pałacyk książęcy o jednem piątrze, z 30 oknami, zbudowany w podłużny czworobok, obwiedziony murem, z czterema po bokach strzelniczemi wieżyczkami, i uzbrojony kilku armatami, zdobytemi na Turkach; na lewo u stóp wzgórza cerkiew z monasterem, w którym mieszka Władyka (biskup), obwiedzione nieregularnym murem; dalej, jedyna na cały kraj drukarnia, gospoda dla podróżnych, oraz kilkanaście domków dla senatorów. W cerkwi złożone są zwłoki świętego Władyki Piotra I. Monaster postawił Iwan Cerny w 1478 r. Ad. N. Nakęski. W Encykl. powsz. pod wyrazem: Czarnogórze.

szerokie czoło poorane w zmarszczki, twarz licznemi naznaczona bliznami, zdradzały ognistą duszę i burzliwy żywot. Długa kapota (bielacza) z białego sukna obejmowała, a raczej więziła jego ciało aż po kolana; a z pod niej ukazywały się szerokie modre spodnie, wpuszczone w białe kamasze, spięte sprzączkami aż po kostki; białe wełniane skarpetki, grube trzewiki, utwierdzone rzemykami, i okrągła czapeczka (fez) z czerwonego sukna uzupełniały strój starca. Szeroki pas skórzany ściskał jego biodra, a przy tym pasie znajdowały się nieodłączne u każdego Czarnogórcy ostry długi handżar (nóż) i kubur (pistolet). Szyja starca była obnażona (bo Czarnogórcy nie noszą koszuli); przez prawe ramię przewieszoną miał długą ozdobną szarenicę (rusznicę), z lewego spadał pewny rodzaj płaszcza, zwany struka [2]). Nieco dalej stał młodzieniec; fez jego owinięty był szalem na sposób turecki; za pasem miał dwa kubury, a na jego lewem ramieniu wspierała się niewiasta, podeszła w lata, z płachtą na głowie i struką na plecach.

Na czele orszaku, skupionego pod czarną chorągwią, na której wyszyto srebrnemi głoskami: Zyjko-Miłow-Marcinowicz, była kobiéta. Twarz jej piękna acz blada, wyrażała znużenie i smutek, oczy jej zwracały się od czasu do czasu na młodą dziewczynę, płaczącą rzewnie. Mężczyzni otaczający te dwie kobiéty, byli mocno strapieni, tymczasem ich przeciwnicy z szyderskim spoglądali uśmiechem.

Wystrzał z ręcznej broni, dochodzący z dworu, oznajmił przybycie niecierpliwie oczekiwanego człowieka. Rosły, kształtny, z wyniosłem czołem i bladem licem, ocienionem długiemi czarnemi włosami mąż, pozdrowiony został okrzykiem: „Błogosław święty Władyko!“

Obecność Piotra Radoja [3]), który jako naczelnik świecki i duchowny Czarnogórza od roku 1833 krajem tym rządził, aż nadto jasno okazywała, że sądzić się mająca sprawa ważną być musiała. Władyka usiadł na kamiennej ławie, okrytej pewnym rodzajem kobierca, przeżegnał się i przemówił w te słowa:

„Moje dzieci, niech was Bóg błogosławi, a ludzie poważają i kochają! Kraj nasz nie jest wielki, jedynymi obrońcami jego są góry, które go opasują, i waleczni, którzy w nim mieszkają; ale jeżeli Przedwieczny tak dalece podniósł szczyty gór, że silną i niezłamaną stanowić mogą zaporę, to znowu szatan, wkradłszy się w pośród was, pod maską zbrodni i zemsty kłóci was, zbroi jednych przeciwko drugim i do wzajemnego potępienia podżega. Niechaj zatem ci, do których ściąga się ta przymówka, złożą nienawiści i zaciętości swoje w ojcowskiem sercu naszem; serce to słucha tylko głosu sprawiedliwości i woli raczej błogosławić wasze rodziny, niż jednego z pośród was karą dosięgnąć.“

— Kto jesteś? — zapytał po tej przemowie Władyka starca, występującego w roli oskarzyciela.

— Sawo Marko Petrowicz Niegusz — odpowiedział starzec, jakoby rzekł: syn Marka z rodziny Petrowiczów, należący do gminy Nieguszów.

— Twój wiek?

— Sześćdziesiąt lat.

— Twój stan?

— Strzelec i żołnierz, ilekroć to ramię i ta strzelba mogą być potrzebne lub użyteczne mojemu krajowi.

— O co się żalisz?

— O zbrodnię, która mnie dotknęła w tem, co mam najdroższego na świecie, a którą z narażeniem własnego życia pomścić chciałem. Ta kobiéta, stojąca w gronie przeciwników moich, to moja córka. Do lat dwudziestu nie znała innej woli, prócz woli Boga i mojej. Powolna, pracowita, posłuszna, miała dopełnić swojego szczęścia zawierając dozgonne śluby z młodym i dziarskim chłopcem z naszej gminy, z którym od lat dziecinnych zaręczoną była, kiedy niespodziany wypadek sprowadził do mojego domu Miłowa Marcinowicza. Przyjąłem chętnie tego nieszczęśliwego, bo ścigany przez Turków, naszych wspólnych wrogów, miał prawo do mojej gościnności i pomocy. Nikczemny! Odpłacił mi zdradą, został kochankiem mojej córki. Wygnałem przestępcę. Czas mógł wrócić spokojność mojemu domowi. Szczęście Maryny było jedynym myśli moich przedmiotem. Zdawało się, że i ona odpłaca wzajemnością miłość swego narzeczonego; nadszedł dzień, mający spełnić tak długo odroczony związek. Zyjko nadszedł dom mój zbrojną ręką, porwał córkę i zabił syna stającego w obronie siostry.

Tu głos starca zaczął być słabszy i wewnętrzne zdradzał wzruszenie. Starzec powiódł spłakanem okiem po zgromadzeniu i tak dalej mówił:

— Co się odtąd we mnie działo, snadno odgadniecie. Serce moje jedną tylko pałało żądzą, jednemu tylko ślubowało uczuciu — zemście. Krew wrzała mi w żyłach, ilekroć spojrzałem na skrwawioną odzież mojego syna. Pożerany wściekłością, trawiony zgryzotą, wlokłem wycieńczone ciało po najdzikszych zaroślach, wdzierałem się na skały, obiegałem drogi, śledząc, podsłuchując, wyglądając, celem dokonania zemsty. Tak przeszły dwa miesiące;

[2]) Właściwie gunia, utkana z końskiego włosienia.

[3]) Radoj, wyświęcony w 1833 r. w Petersburgu na biskupa, zwyczajem od wieków przyjętym u Słowian, zamienił swoje imię Radoja na Piotra, imię zasłużonego swego poprzednika Piotra Petrowicza Niegusza. Urządził senat z 12 członków, ustanowił strażników (perjaników), przewodniczącym zamianował bratanka Petrowicza Niegusza; ustanowił medal za waleczność, na czerwonej wstądze; uorganizował sąd narodowy, ograniczył krwinę (krwawą pomstę familijną), i utmicę (porywanie dziewcząt), założył szkołę i wzmocnił władzę. Piotr II. był światłym monarchą, a nadto prawdziwie narodowym poetą. Tenże — Tamże.

w tem, jednego dnia, synowiec mój, ten dzielny młodzieniec Marko (a tu wskazał na młodzieńca, stojącego przy nim), wszedł do mojego domu niosąc w ręku głowę, z której krew jeszcze płynęła [4]). Oczy moje rozradowały się tym widokiem, bo to była głowa starego Miłowa Marcinowicza, ojca mordercy mojego syna, uwodziciela mojej córki, nieprzyjaciela mojej rodziny.

Te ostatnie wyrazy z konwulsyjnem wyrzeczone poruszeniem, wzbudziły w słuchaczach podziw i litość. Władyka chciał badać stronę przeciwną, ale liczne okrzyki: Niech mówi Sawo! — Sawo dobrze mówi! — utrzymały głos starcowi i ten mówił dalej:

— Zaledwie pomszczony, musiałem z kolei zabezpieczać się od zemsty Zyjka, grożącego mi publicznie. Nienawiść nasza, podniecana tysiącem środków ostrożności i wzajemnych usiłowań szkodzenia jedni drugim, przeszła do naszych krewnych, do przyjaciół. Nie mogąc się zniszczyć ani siłą, ani podstępem, wiedliśmy z sobą wojnę otwartą, nieubłaganą, srogą. Bogu samemu wiadomo, ile mnie ta wojna kosztowała. Gdzie dawniej stał dom i stodoły moje, tam dzisiaj widzę tylko popioły i gruzy. A przecież, serce moje oddaje się radości, bo Zyjka już nie ma.

Łkania, tłumione dotąd przez małżonkę wymienionej ofiary, zagłuszyły głos starca. Zgromadzenie, zagrzane przemową Sawa, nie mogło się oprzeć uczuciu boleści, i rozrzewnienie już było powszechnem, kiedy jeden z krewnych Zyjka usiłował wrócić mu cześć, skreślając z żywością i łatwością, właściwą Czarnogórcom, usługi, jakie oddał krajowi, i przedziwne jego obejście z krewnymi i z żoną, i śmierć jego na polu bitwy.

Po wysłuchaniu stron przeciwnych, dano głos Iwanowi Obrębie Gawiszowi, naczelnikowi neutralnej gminy. Ten wypowiedział, jak gmina jego, zapatrując się pilnie na walkę stron nieprzyjaźnych, wdała się pomiędzy obie celem przywrócenia porządku i skłonienia przeciwników do tego, aby niechęci swoje pod rozpoznanie senatu oddali. „Nie chcę ja uprzedzać wyroku tego sądu — rzekł w końcu—ale zdaniem mojem należałoby porównać straty, poniesione przez obie strony, i pojednać je, wynagradzając szkody więcej uciśnionej strony kosztem przeciwnej.“

Zdanie to trafiło do przekonania wszystkich senatorów; jeden z nich powstał i przypomniał kolegom swoim, że ustanowiona od niepamiętnych czasów taryfa, na układy tego rodzaju, naznaczała na każdą głowę 132 dukatów i 4 cwancygiery, że połowa tej sumy przysądzaną bywała za odjęcie jakiego członka lub cięższe blizny, że nakoniec inne szkody i straty stosunkowo oszacować należy. — W sporach, sprowadzonych na to stanowisko, obie strony z całą zimną krwią wytaczały przyjaźne im okoliczności, a ta wymowna acz smutna polemika żywo zajęła słuchaczy.

Z obliczenia szkód wzajemnych okazało się, że rodzina Żyjka winna była zapłacić rodzinie Sawa sumę 60 dukatów. Senatorowie zatwierdzili ten rachunek głośnemi wotami, i na temże posiedzeniu zapadły wyrok spisany został na dwie ręce, przez sekretarza Władyki, podpisany przez Władykę i doręczony stronom.

Pomimo szczeroty i prawości, cechujących Czarnogórców, pomiędzy karpackiemi Słowianami, stary Sawo oświadczył chęć uświęcenia wyroku uroczystą przysięgą, puszczenia w niepamięć przeszłości i wiary w lepszą przyszłość. Ten obrzęd odbył się w cerkwi. Mężczyźni, kobiéty, dzieci, składający rodzinę Sawa, zasiedli na kamiennej posadzce. Mężczyzna najstarszy wiekiem ze strony przeciwnej przystąpił z krzyżem w ręku, i ucałowawszy go wyrzekł donośnym i stanowczym głosem straszliwe zaklęcia, na które rodzina Sawa odpowiadała pobożnie: Amen! Po dokonanej przysiędze obie strony uszykowały się naprzeciw siebie, mężczyzni wprost mężczyzn, kobiéty wprost kobiét, dzieci wprost dzieci, tak, aby ile możności wiek, charaktery i skłonności zbliżone były ku sobie. Sędzia, wybrany z pośród senatorów, obiegł oba szeregi, odbierając mężczyznom ich handżary, kubury i szarenice i zrzucając je na jedną kupę. Poczem wszyscy ucałowali się wzajemnie. Mężczyzni odebrali z rąk sędziego zamienione oręże, na znak zgody; a całe zgromadzenie wyszło wesoło z kościoła na ucztę, przygotowaną pod gołem niebem, kosztem pojednanych rodzin.

Ksaw. Godebski.

[4]) Urzynanie głowy nieprzyjacielowi po bitwie i zatykanie jej na tyczkę, jest powszechnym zwyczajem, trudnym do zaniechania w dzisiejszych okolicznościach, jako głównej pobudki do waleczności; podług bowiem liczby takich głów ocenia się męztwo Czarnogórcy. Tenże. — Tamże.

Mikołaj Kopernik.

Gdziekolwiek ludzie, wyszedłszy z pierwotnego stanu dzikości, zaczynają więcej zwracać uwagi na zjawiska otaczającej je przyrody, wszędzie jednym z pierwszych przedmiotów, który się ich umysłowi nasuwa, jest jednostajnie powtarzający się obrot ciał niebieskich. Powodując się wyłącznie wrażeniami zmysłowemi, ludy na najniższym stopniu oświaty uważają pozorny wschód i zachód słońca, księżyca i gwiazd, równie jak pozorną nieruchomość ziemi za rzeczywistość. Nawet przy wyższym stanie oświaty mniemanie to jest wyłącznie panującem. W Grecyi starożytnej Plato i Aristoteles nie wątpili o tem, że ziemia jest właściwym i jedynym światem i że jest nieruchomą, a

słońce, księżyc i gwiazdy są tylko dodatkiem, istniejącym dla pożytku ziemi, około ktorej krążą.

Grecki astronom Aristarch ze Samos powziął był wprawdzie myśl o prawdziwym stosunku ziemi do słońca, jak się to okazuje z następującego jego wyrzeczenia: „Ziemia obraca się około swej osi i oraz w pochyłem

żnierstwo przeciw bogom, przez zakłócenie spokoju Vesty (ziemi) i Larów.

Hipparch z Nicei starał się wytłumaczyć zjawiska obiegu ciał niebieskich, jednakże pomimo wielkich zasług, jakie około astronomii położył, niedoprowadził do utworzenia właściwego układu słonecznego.



MIKOŁAJ KOPERNIK.

kole około słońca; koło to ma się do odległości gwiazd stałych, tak jak środek do obwodu, i z tego powodu niemożemy ruchu ziemi na gwiazdach spostrzedz;" lecz nie zdołał zdania swego udowodnić. Wypowiedzeniem tem oburzył przeciw sobie kapłanów i został oskarzonym o blu-

Klaudiusz Ptolomeusz z Aleksandryi był pierwszym, który oparłszy się na spostrzeżeniach Hipparcha i swych własnych, ułożył system słoneczny.

Według tego systemu ziemia nieruchoma zajmuje środek świata, a ogólna wszystkie ciała niebieskie obej-

mująca sfera, zwana *primum mobile*, oprowadza te ciała w przeciągu 24 godzin około ziemi. Oprócz tego znajdują się jeszcze osobne sfery, w których pojedyncze płanety się poruszają. Słońce i księżyc krążą w okręgach odśrodkowych, dlatego też ich obrot nie wydaje się jednostajnie szybkim, a ich wielkość pozorna jest zmienną. Płanety według tego systemu krążą w epicyklach około ziemi, zkąd wynika, iż obrót tychże wydaje się to postępowym, to wstecznym, lub też zdają się one czasem stać na jednem miejscu.

Poźniej system Ptolomeusza został o tyle zmienionym, iż twierdzono, że Merkury i Wenus nie krążą bezpośrednio około ziemi, lecz jako trabanty słońca.

System Ptolomeusza utrzymał się przez cały ciąg średnich wieków. Dopiero w 1300 lat po Ptolomeuszu, powołanym został rodak nasz Mikołaj Kopernik do obalenia tego systemu i do wykazania mieszkańcom ziemi prawdziwego stosunku tejże do reszty wszechświata. Kopernik powziął przekonanie, że zawiły system Ptolomeusza w żaden sposób nie wystarcza do wytłumaczenia wszystkich zjawisk, jakie nam ciała niebieskie pod względem swych obrotów przedstawiają, i że ustawy przyrody muszą być o wiele pojedyńczszemi, niż to do owego czasu twierdzono. Oznaczył więc słońcu miejsce we środku systemu płanetarnego, a płanetom, do których także ziemię policzył, wykreślił koleje w postaci okręgów odśrodkowych około słońca. Tylko dla księżyca zatrzymał obieg przez Ptolomeusza oznaczony. Zamiast hipotetycznego *primum mobile* przypuścił obrot ziemi około osi, przez co codzienny wschód i zachód ciał niebieskich bardzo pojedyńczym sposobem wytłumaczył.

Mikołaj Kopernik urodzony 19 lutego 1473 w Toruniu, okazywał już w pierwszej młodości wielkie zamiłowanie do umiejętności przyrodniczych a szczególnie do astronomii. W r. 1491 uczył się na wszechnicy krakowskiej filozofii i medycyny i słuchał oprócz tego wykładów astronomicznych Brudzewskiego. W dwudziestym trzecim roku życia swego, po otrzymaniu w Krakowie godności doktora filozofii, udał się do Bolonii, gdzie na wykłady znakomitego astronoma Dominika Maria uczęszczał. Ztamtąd poszedł do Rzymu i tam od roku 1499 wykładał sam astronomię. Wróciwszy do ojczyzny wstąpił do stanu duchownego i otrzymał w roku 1512 za pośrednictwem wuja swego Wazelroda kanonję przy kapitule w Frauenbergu. Tu mógł się swobodnie oddać ulubionej swej nauce astronomii. W roku 1530 ukończył wielkie swoje dzieło: „*De revolutionibus orbium coelestium*“, lecz zachowywał takowe w rękopiśmie, robiąc jeszcze niektóre poprawki. Sława systemu Kopernika rozeszła się tymczasem po całym ówczesnym uczonym świecie, twórca onego jednak wstrzymywał się jeszcze ciągle z ogłoszeniem swojego dzieła. Dopiero po długoletniem usilnem naleganiu otrzymał biskup z Chełmna, Tideman Gise, od Kopernika rękopism z upoważnieniem ogłoszenia go drukiem. Tidemann Gise posłał takowy uczniowi Kopernika Jerzemu Reticus, profesorowi we Wittembergu, który Norymbergę za stosowne miejsce wydania dzieła uznał i zajęcie się takowem profesorowi Schonerowi i Jędrzejowi Osiandrowi polecił. Nareszcie w roku 1543 wyszło z druku dzieło, poświęcone przez autora papieżowi Pawłowi III, lecz Kopernik był już na łożu śmiertelnem, gdy mu pierwszy egzemplarz doręczono. Z widoczną uciechą, chociaż nie mogąc już w skutek osłabienia wyrzec ani słowa, wziął księgę do ręki, oglądnął ją— a w kilka dni potem zakończył życie, 24. maja 1543.

Ciało jego leży w katedrze w Frauenbergu przed tym ołtarzem, przed którym najczęściej mszę czytywał. W kościele św. Anny w Krakowie znajduje się pomnik jego, wystawiony w r. 1823 przez hr. Sierakowskiego z napisem, wyjętym z księgi Jozuego 19. 11. „*Sta sol, ne moveare.*“ W roku 1829 stanął na cześć jego, staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, posąg pomysłu Torwaldsena a wykonany przez Gregoriena; zaś w r. 1853 otrzymał także pomnik w rodzinnem swem mieście Toruniu.

Niemcy, którzy oprócz innych ujemnych własności mają także i tę, iż często przywłaszczają sobie znakomitości obcych narodów, uważają Kopernika za Niemca, i ustawili popiersie jego w Walhalli koło Regensburga, opierając się na tem, że matka jego Barbara Wasselrode pochodziła z rodziny niemieckiej. Gdy jednak Śniadecki i Czyński dowiedli, że rodzina ojca jego nie pochodziła z Niemiec, lecz z Czech; gdy oprócz tego Kopernik był urodzony w Polsce, polskie otrzymał wychowanie, i ojczystym językiem jego był język polski; gdy wreście sam uważał się za Polaka i podpisywał się często „*Copernicus Polonus*“;—możemy śmiało przyznać sobie ten zaszczyt, że wielki Kopernik był naszym rodakiem.

System Kopernika natrafił na wielu przeciwników i wywołał przeciw sobie mnóstwo zarzutów. Zarzuty były dwojakie: jedne były natury umiejętnej, drugie teologicznej. Jednym z głównych przeciwników Kopernika we względzie umiejętnym był astronom Tycho Brahe. Zarzuty jego są następujące: „Ziemia — powiada Tycho — „jest grubą, ciężką i do ruchu n i e z r ę c z n ą masą; jakże może Kopernik robić z niej gwiazdę i oprowadzać ją w powietrzu.“ W innem miejscu mówi znowu: „Jeżeli z wysokiej wieży lub masztu rzucimy kamień, to nie mógłby on u stóp tegoż upaść, gdyby się ziemia przez ten czas poruszała, lecz musiałby spaść o tyle stóp ku zachodowi, o ile się ziemia w tym czasie od zachodu na wschód około swej osi obróciła.“ Oprócz tego sądził Tycho, że gdyby system Kopernika był prawdziwym, toby ziemia, ponieważ ruch obrotu i ruch obiegu nieodbywają się w tej

samej równinie, musiała mieć jeszcze trzeci ruch, w skutek ktoregoby oś jej ciągle to samo zachowywała położenie.

Dla wielu było także niepojętem, jak to być może, że przedmioty, na powierzchni ziemi znajdujące się, pomimo podwójnego ruchu ziemi z tejże nie spadną, i że w ogóle ruch ten czuć nam się nie daje.

Zarzut czyniony przeciw systemowi Kopernika przez teologów opierał się na tym ustępie z księgi Jozuego, w którem jest powiedziano, że Jozue aby przedłużyć dzień potrzebny do zwalczenia Gabaonitów rzekł: „Słońce w Gabaon zastanów się, a księżycu w dolinie Ajalon. I zastanowiło się słońce a księżyc stanął, aż się lud pomścił nad nieprzyjaciołmi swymi.“ Zaciekłość fanatyków posunęła się aż do tego stopnia, że sławny astronom Galilei, który w pierwszej połowie XVII. wieku oświadczył się za systemem Kopernika, został za to uwięzionym i musiał klęcząc swe „błędy“ odprzysięgać. Wieść niesie, że powstawszy uderzył nogą o ziemię i wyrzekł: „*E pur si muove.*“ (A przecież się rusza). Dzieło Kopernika umieszczone zostało przez papieża w spisie dzieł zakazanych, i dopiero w r. 1821 zakaz ten zniesionym został.

Wszystkie jednak zarzuty przeciwko systemowi Kopernika czynione, poźniejsza umiejętność astronomiczna nietylko że zwycięzko zwalczyła, lecz nawet na tyle dowodów prawdziwości tegoż systemu zamieniła. Gdy Kopernik, za którego życia dalowidy niebyły jeszcze wynalezione, powiedział, że gdyby Merkury i Wenus mniej były oddalonemi od ziemi, toby nam okazywały takie same zmiany swych postaci, jak księżyc—spostrzegł Galilei w r. 1610 przez dalowidy, dwa lata przedtem wynalezione, płanetę Wenus istotnie w tej samej postaci, w jakiej ją nieśmiertelny nasz rodak kilkadziesiąt lat przedtem okiem swego ducha ujrzał. Odkrycie aberacji światła w 1727 przez Bradleya, spłaszczenie ziemi na biegunach, rotacja wszystkich innych ciał niebieskich, obrót płaszczyzny oscylacyjnej wahadła, odkryty przez Toucaulta w r. 1852, i mnóstwo innych po śmierci Kopernika poczynionych odkryć, potwierdziły najzupełniej prawdziwość jego systemu. System ten jest jedynie możebny, jest podstawą całej astronomii i nie przedstawia żadnej wątpliwości.

Nieprzyjaciele oświaty i postępu ludzkości zaniechali wreście swoich napaści przeciw nauce Kopernika, zwróciwszy niecne swe usiłowania przeciw innym działom umiejętności przyrodniczych; lecz równie jak system Kopernika pomimo klątw i prześladowań przecie uzyskał powszechne uznanie, tak też umiejętność w ogóle nie da się sprowadzić z właściwej drogi, ani w rozwoju postępowym zatrzymać; a chociaż przeciwnicy jej myślą, że ją wstrzymać zdołają, przekonają się nareście, że ona „przecież się rusza.“

Ludwik Wierzejski.

A V E.

Już gaśnie stropu latarnia
I spokój światy ogarnia.
Zachód złociste wdział lamy,
Tęczowym przetkał się szychem;
Kwiaty spragnionym kielichem
Piją wieczorne balsamy;
Słowiczym chórem brzmią łozy.

Leniwo suną chmur wozy —
Strudzony ptak mknie do gniazda...
Już błysła wieczorna gwiazda,
Ognik podleciał na bagnie...
Wszystko spoczynku już pragnie,
Osłabło tętno przyrody;
Ziemia, powietrze i wody
Gęstą pomroką się tulą
Jak gdyby nocną koszulą.

Ziemia, powietrze i wody
Spoczęły po dziennej męce
Wszystko spoczęło!
I wewnątrz ludzkiej zagrody
Spoczęły ludzkie ręce,
I ludzkie dzieło...

Ostatnie z tworów bezsennych
Czuwają ludzkie serca.
Kto je utuli z mąk całodziennych!
Ach, kto pocieszy po minionym dniu
Te ludzkie serca!

W objęciach snu
Ziemia, powietrze i wody
Znalazły spokój i ciszę —
I tylko ludzkie przygody
I ludzkie nie spią zawody,
Po ciężkim dniu!
Któż serca z nich ukołysze
Do snu?

„Dindin don! dindin don!“
Zabrzmiał z framugi kaplicznej

Wieczorny dzwon.
Zabrzmiał dźwięk serca mistyczny:
„Dindin don! dindin don!
Uczucia ciche i prawe



Uderzcie w mój czysty ton --
Ja każdą serca nowinę
Zabieram na eterów nawę
I płynę — płynę — płynę —

Dindin don! Dindin don!
I znoszę — znoszę — znoszę —
Westchnienia, jęki, rozkosze,
Mój cały plon,

Przed serce Golgotą krwawe,
Przed Maryi tron...
Ave!

W jakiemż się sercu ostoi
Niepokój na głos tej wieści?
Uczucie ludzkie się koi,
Gdy je dźwięk śrebrny rozpieści:
„Dindin don! dindin don!
Uczucia ciche i prawe
Uderzcie w mój czysty ton —
Ja każdą serca nowinę
Zabieram na eterów nawę
I płynę — płynę — płynę —
Dindin don! dindin don!
I znoszę — znoszę — znoszę —
Westchnienia, jęki, rozkosze,
Mój cały plon,
Przed serce Golgotą krwawe,
Przed Maryi tron...
Ave!
„Dindin don! din don!“
Powietrze, ziemia i wody
I wszelki świata ruch
Spoczną bez szkody —
„Din don din!“
I ludzki duch
I ludzki czyn
I ludzkie spoczną przygody,
I wszelkie męki krwawe
Spoczną, aż z nowym dzionkiem
Rozbrzmi się dzwonkiem
Poranne „Ave!“

Luty r. 1869.

B. Komorowski.

SŁOWO BEZ ECHA!

SZKIC POWIEŚCIOWY

PRZEZ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(Ciąg dalszy.)

XV.

Po półgodzinnej rozmowie przypomniał sobie patron, że ma jeszcze drugi interes do załatwienia. Karol powstał także, choć żadnego interesu nie miał, któryby go z tego saloniku mógł odwołać. Pani Dormundowa (taki był napis na czarnej tablicy) podziękowała adwokatowi, że o nich nie zapomniał i że im przysporzył tak przyjemnej znajomości. Karolowi powiedziała kilka słów bardzo grzecznych i prosiła go, aby z tak blizkiego sąsiedztwa chciał częściej korzystać.

Jadwiga nie dołączyła żadnego słowa do prośby matki. Oczy jej jednak spoczywały z uwagą na twarzy Karola, jakby badać chciały, jakie wrażenie sprawią na nim słowa matki. Ukłoniła się z wdziękiem, a gdy Karol uścisnąwszy rękę matki i jej dłoń podawał, położyła na niej z lekka trzy drobne swoje paluszki, i cofnęła je, nim Karol mógł je uścisnąć.

— W którą stronę pan idziesz? — zapytał patron z obojętnością na kurytarzu.

Karol spojrzał na niego z uwagą, pomyślał chwilę i odrzekł z uśmiechem:

— Na Nowy-Świat! Kontynuję dalej mój program dzisiejszy.

— To jest, mówiąc wyraźnie — do panny Michaliny.

— Czy pana to zadziwia?

— Nie, wcale nie — odparł patron dosyć spokojnie — wszak tego nigdy od pana nie żądałem, abyś pan u pani Błażejowej, czy raczej u panny Michaliny wcale nie bywał. Przeciwnie jest to nawet w moim interesie. Jeżeli pan tam bywać będziesz, a mimo to na wdzięki Michaliny ślepym, a na półsłówka głuchym się okażesz, to większa jest szansa dla mnie. Panna Michalina zwróci się znowu do mnie, jeźli jej złote sidełka okażą się i w tym razie bezskutecznemi.

Karol spojrzał na patrona z zadziwieniem. Uśmiech litości przemknął koło jego ust. Pomyślał sobie w tej chwili: Jak mało żąda ten człowiek do swego szczęścia! I tutaj jest prawnikiem. Chodzi mu tylko o sam fakt, o dokument spełnionego faktu — o ślub. O resztę niedba wcale.

— I pan mówisz to z tak zimną krwią? — ozwał się po chwili Karol.

— Lubię w życiu iść trzeźwo — odparł patron — a mrzonkami nie lubię się łudzić. W dziejach mojego romansu nie jesteś pan jedynym, na którym się potykam. Musiałem już z drogi usunąć barona, doktora, a nawet mecenasa, nie licząc w to pana Bolesława, gładkiego panicza z lornetką na nosie.

— Czy mnie już pan do nich nie zaliczasz?

— Nasze stosunki są jasne i przyjaźne.

— A gdybym mimo wszelkich ostrzeżeń wobec spojrzeń panny Michaliny nagle osłabł i dał się przywiązać do rydwanu jej zwycięstw obok barona, doktora i mecenasa, o panu już nie mówiąc...

— Nie widzę w tem żadnego interesu dla pana. Pan jesteś w wieku, w którym zazwyczaj z życiem się nie żartuje. Co innego np. pan Bolesław. Ten, zdaje się, bierze całe życie na żart. Ale ręczę panu, że przy najbliższej sposobności wcisnę mu tę lornetkę w sam środek nosa, że jej ślady będzie nosił przez ruski miesiąc.

— Zkądże powziąłeś pan tak dobre wyobrażenie o mnie?

— Jestem znawcą ludzi, bo mój zawód usposabia mnie do tego. Widziałem jak pan patrzyłeś na pannę Jadwigę. Widać zresztą z rozmowy, że już tam gdzieś nad błotnistym brzegiem Bugu widzieliście się razem. Jest więc coś i dla fantazyi, jeźli tego panu potrzeba. A panna Jadwiga...

— Panna Jadwiga... cóż panna Jadwiga?

— Oglądała pana dosyć starannie, jakby jaki ekstrakt hipoteczny. A w jej oczach było coś... coś...

— Pan wymyślasz wszystkie te ładne rzeczy, broniąc swojej Michaliny.

— Nie panie. Rzecz bardzo prosta. Gdy się zejdzie równy z równą, to i przeszkód żadnych nie ma. Ona ma majątek na Litwie, pan masz majątek nad Bugiem. Ona jest piękna i podoba się panu, pan nie byłeś dla niej także wstrętnym, przychylność matki jest — czegoż więcej potrzeba, aby się zakuć w złote kajdany?

— Pan jesteś strasznym dla mnie — odparł po chwili Karol z uśmiechem — gdybym z panem codzień w ten sposób rozmawiał, straciłbym ochotę do życia.

— Więc zostawiam pana w samotności, samotność to matka wielkich rzeczy. Wkrótce dowiem się, żeś pan tych wielkich rzeczy dokazał i piękną Litwinkę jak drugi Budrys pod burkę schował.

Rzekłszy roześmiał się patron głośno, uścisnął rękę Karolowi i odszedł nucąc sobie jakąś aryjkę. Zdawało mu się zapewnie, że korzystny proces wygrał bez wielkich kosztów.

XVI.

Karol nie poszedł na nowy świat, jak patronowi był zapowiedział, ale prosto do swego numeru, zamknąwszy za sobą zamek na dwa spusty. Rzucił kapelusz i rękawiczki na stół, a sam usiadł na sofie.

Dziwne bardzo dziwne rzeczy przyniósł mu dzień dzisiejszy. Sen jego, mrzonka, stał się rzeczywistością. Ujrzał i poznał kobiétę, która jak senne widmo przesunęła mu się przed oczy nad brzegiem Bugu. Był tak blizko niej, słyszał jej grę w samotnych godzinach, a szukał jej tak daleko. Czyż to naprawdę jest charakterystyką każdego szczęścia, że jest blizko nas, gdy go daleko szukamy.

Każdy a nawet najprozaiczniejszy człowiek ma w życiu kilka chwil idealniejszych, tak samo jak każda roślina choć na krótki czas kwiatem się okrywa. Ta tylko jest różnica między ludźmi, że jedni uporają się dosyć prędko z temi idealniejszemi chwilami życia i schodzą zawczasu do błotnistej rzeczywistości, drugim pozrzuca wiatr przeciwny te białe listki kwiatów, nim się ladajaki owoc zawiązał, a inni utrzymują się jakoś dłuższy czas przy tym kwiecie życia.

Karol należał do tych ostatnich. Zdarzenie dnia dzisiejszego, które dla wielu innych byłoby może przyjemnym epizodem życia, dla niego stało się — epoką. Wszystkie jego rozpierzchnione myśli, uczucia i pragnienia zebrały się w tej chwili razem i ugrupowały około dzisiejszego zdarzenia. Była to dla jego serca niezawodna oznaka, że jest przedmiot, któremu całe oddać się może.

Długo siedział Karol na sofie. Obie dłonie podłożył pod głowę, jakby mu w tej chwili mocno ciężyła. Po raz tysiączny przebiegał wszystkie dzieje tych dziwnych dwóch tygodni, a serce mówiło mu wyraźnie, że w nich poczyna się nowy okres dla niego.

Jadwiga wraz z matką stały mu ustawicznie przed oczyma. Matka była zacna, poważna matrona. Każde jej słowo było oznaką wysokiego rozumu i wykształcenia. Z twarzy jej widać, że jakieś wielkie cierpienia poorały i pomarszczyły ją zawcześnie. Ale w cierpieniach tylko dojrzewa serce i umysł...

Obok matki, wspartą na jej ramieniu widział Jadwigę. Miała na sobie ciemną suknię ze spokojną, poważną draperyą. Twarz jej była blada, ale mimoto tak dziwnie ożywiona, że można tam było czytać każdą myśl, każde najcichsze marzenie, nim je jeszcze blado-różowe usta wyszepnąć zdołały. W oczach ciemnych wytwarzał się ustawicznie i ustawicznie przygasał jakiś blask dziwny, którego na dłuższy czas nigdy ująć nie można było. Ta ustawiczna gra światła miała w sobie coś uroczego. Zdawało się, że to były błyski tysiącznych myśli i marzeń, które jak muszki efemerydy rodziły się z każdą chwilą o pięknych, śkliących skrzydełkach i za chwilę marnie ginęły. Nikt nie umiał ich podjąć, owionąć ciepłem tchnieniem, a atmosfera, w której żyć miały, była tak zimna, tak posępna. To też snać smutno było dziewicy za temi złoto-skrzydlnemi marzeniami, bo lekki melancholijny uśmiech rysował się zawsze koło jej ust blado-różowych, kiedy na zapytanie Karola odpowiadała.

Takie były obrazy, które w tej chwili snuły się przed oczy zadumanego Karola. Przywoływał sobie do pamięci każde słowo, każde spojrzenie Jadwigi. Zapomniał o obiedzie i nie spostrzegł wcale, że na wieży wybiła godzina piąta. O tej porze słuchał zazwyczaj owej tajemniczej gry

na fortepianie, która w sercu jego rozbudzała tyle przyjemnych marzeń. Dzisiaj wiedział już, czyja to ręka posyła mu te tony, czyja dusza udziela się mu tą dziwną, uniwersalną mową strun.

Cóż to? Karol wyprostował się i zaczął słuchać z uwagą...

Ozwał się fortepian... Karol słuchał z coraz większem zajęciem. Zdawało mu się, że to jakaś inna ręka uderza te struny. Dotąd były tony smutne, miękkie, skarżące się. Wyrażały one cierpienie, prosiły litości i jałmużny. Ledwie cichym szeptem wymawiały żałobę swoją, ledwie dosłyszanem echem ogłaszały westchnienie piersi bolejącej. Dzisiaj są zupełnie inne. Wydobywa je pewna siebie ręka i tworzy z nich jakąś piękną, rozkoszną girlandę. Są to pełne, śmiałe tony szczęśliwego serca, które się już nie ogląda trwożliwie koło siebie, ale kroczy śmiało naprzód do upatrzonego celu.

Karol słuchał dalej i zawsze czekał na coś. Zdawało mu się, że to tylko przygrywka, tylko próba ręki, że wkrótce nastąpi inna, dobrze mu znana gra. Ale czekał daremnie. Gra nie zmieniła się wcale. Była silna, śmiała, pełna wiary i nadziei, i znamionowała jakieś nader roskoszne usposobienie duszy. Taką pozostała do końca.

W innych, rzeczywistych stosunkach życia nie zwracałby może Karol na to uwagi. Ale położenie jego było zupełnie wyjątkowe. On nie poznał Jadwigi w salonie przy stoliku herbacianym, nie prezentował się jej według sterotypowych formułek towarzyskich, nie tańczył z nią ani kontradansa ani polki, nie oświadczył się jej choćby tylko na pół-żartem po francusku i nie odebrał od niej żadnej odpowiedzi. Gdyby to wszystko było nastąpiło, obojętnem byłoby dla niego, czy Jadwiga zaproszona do gry, gra w *b-moll*, czy *d-dur*.

Stosunek jego do Jadwigi był dziwnie idealny. Przesunęła mu się w podróży poprzed oczy i znikła jak senne widmo. Długo, bardzo długo jej nie widział, nic o niej nie słyszał. Marząc o niej w samotnym pokoiku słuchał jakiejś przyjemnej gry na oddalonym fortepianie w jednych i tych samych godzinach. Gra ta miała dla niego pewną charakterystykę. Była ona zawsze jednego i tego samego nastroju. Nigdy nie wypowiadała ani mniej ani więcej. Karol wsłuchał się już był w tę muzykę i tak się do niej przyzwyczaił, jakby mu konieczną już była potrzebą. Teraz dowiedział się, że ta muzyka pochodzi od kobiéty, o której marzył, za którą przyjechał, i której nadaremnie tak długo szukał. Muzyka ta zgadzała się zupełnie z ujrzaną kobiétą. Miała ona to samo smutne wejrzenie, iskrzące się jasnem marzeniem, ten sam melancholijny uśmiech wiał od niej, gdy z oddalonych pokoi do niego się zbliżała.

Zkądże dzisiaj ta nagła zmiana? Cóż nagle zmieniło tę rękę, która była pierwej tak wątłą, tak pieściwą? Czy może to inna ręka? Któżby to mógł być?

Takie dziwne myśli nachodziły Karola podczas tej gry. Miała ona dla niego daleko większe znaczenie, niżeliby to być mogło w innych stosunkach życia. Była ona jedyną nicią, wiążącą jego marzenia. Innych, rzeczywistszych stosunków nie było w tej chwili. Wypadało więc i tej nici wątłej nie porzucać, tylko po niej iść dalej.

Ale wkrótce i ta wątła nić urwała się. Muzyka ustała.

Karol nadsłuchiwał jeszcze czas niejaki, ale nadsłuchiwał daremnie. Prócz wielkomiastowej wrzawy nie doszedł do jego uszu żaden ton, którego tak pragnął. Nastąpiła cisza, głucha cisza.

Karol zbliżył się do progu i przyłożył ucho do drzwi, czy nie usłyszy chodu jakiego mężczyzny. Na korytarzu było głucho i pusto. Prócz usługującego chłopca, którego kroki już znał doskonale, nikogo nie słyszał.

Ale za to usłyszał odmykające się drzwi i głuchy szelest sukni. Dziwny prąd przebiegł po jego ciele. Szelest sukni rósł coraz więcej, wreszcie na zagięciu kurytarza zaczął cichnąć i ustał zupełnie. Zdawało się, że ktoś wszedł na wschody.

Karol wziął prędko kapelusz i zbiegł na dół.

Na czarnej tablicy, gdzie było nazwisko matki Jadwigi, wisiały klucze. Był to znak, że obie wyszły.

XVII.

Karol wyszedł na ulicę. Głuchy turkot powozu, który coraz więcej niknął wśród gwaru, przekonał go, że obie kobiéty pojechały. Na ulicy nie było nikogo, ktoby mu mógł był coś o nich powiedzieć. Ci, których widział, zajęci byli swemi sprawami i na przejeżdżających wcale nie zważali.

Zaraz koło hotelu, w domu narożnym była cukiernia. Duże, z jednej tafli wykrojone okna były najczęściej zajęte przez ciekawych spektatorów, którzy z gazetami w rękach siedząc, przypatrywali się ztamtąd licznie przechodzącej publiczności. Było to stanowisko arcywygodne dla próżniaków miejskich.

Karol przypomniał sobie, że dzisiaj nie jadł obiadu. Obaczył cukiernię i wstąpił na szklankę herbaty.

Chłopak przyniósł mu herbatę i dzienniki. Karol wziął machinalnie jakąś gazetę do ręki, aby się przynajmniej na pozór czemś zatrudnić. Był to podówczas powszechny strategemat, aby nie wpaść w oko obserwującym aniołom-stróżom. Gość zamyślony przy herbacie lub niecierpliwiący się nasuwał bardzo wiele domysłów. I zawsze znalazł się jakiś ciekawiec, który domysły swoje chciał sprawdzić...

Karol siedział z gazetą w ręku, ale jej wcale nie czytał. Oczy jego wysuwały się po nad ramki gazety i biegały po ulicy za przechodzącymi.

Naprzeciw niego siedziało dwóch młodzików, którzy również trzymali w rękach gazety. Mimo to nie wiele ko-

rzystali z ciekawych rozpraw parlamentów zagranicznych. Po chwili ozwał się jeden:

— Widziałeś ją dobrze, jak wychodziła z hotelu. Teraz mnie uwierzysz.

— *Parbleu!* — odpowiedział drugi — miałem cię zawsze za młodzika, dla którego co obrazek to święta. Ale teraz przyznam ci się, że miałeś zupełnie słuszność. Zkąd nabrałeś tak dobrego gustu?

Młodzieniec z szykiem, siedzący ustawicznie na wystawie w szybie krzyształowej, uśmiechnął się z zasłużonem zadowoleniem. Łyknął czarnej kawy, zaciągnął się papierosem i odparł:

— Nie chciałeś mi wierzyć. Teraz przekonałeś się sam na własne oczy.

— Cóż bliższego dowiedziałeś się o nich.

— Prócz nazwiska, które wyczytałem na czarnej tablicy, nic więcej nie wiem. Siedzą w hotelu jak zakonnice, nie wychodzą nigdzie tylko rano do kościoła i to do Karmelitów. Nie ujrzysz ich ani w teatrze, ani na przechadzce, ani na żadnym koncercie. Zdaje się, że nawet znajomych w mieście nie mają, bo nikt do nich nie chodzi i one nikogo nie odwiedzają. Dziwna, niepojęta rzecz, aby tak siedzieć w stolicy.

— Nieumiesz dobrze tropić mój bratku — odparł starszy — ja ci ręczę, że to jakaś nazbyt prosta tajemnica. Być może, że panna jest narzeczoną i przyjechały po wyprawę. Naturalnie, że w takim razie nie potrzeba im żadnych nowych znajomości, ani teatrów i koncertów, bo wdzięki panny już nabyte.

— Przeczę twoim domysłom — zagadnął młodszy — narzeczona tak nie wygląda, wyjąwszy jeźli za starego idzie. Tam do kata—to myśl genialna! Sam nie wiem, jak do niej przyszedłem. Tak jest, ona idzie za starego. Dam sobie głowę uciąć, jeźli to nieprawda. Myśl genialna... Zkąd ona mi przyszła?

— Słusznie bardzo dziwisz się sobie— odparł starszy— i ja również z tobą się zgadzam w tej mierze, że tylko jakimś nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności podobna, zawsze niepospolita myśl mogła powstać w twojej głowie...

— Teraz wszystko mi się wyjaśnia. Najprzód jej ubior: Nie ma w nim nic owej ponętnej kokieteryi, jaką słyną Warszawianki. Z każdego jej fałdu wygląda smutna rezygnacya. Jakkolwiek młoda i piękna nie potrzebuje już hołdów, bo jej wdzięki mają już właściciela. Wspomnienie tego właściciela napawa ją smutkiem, a ztąd ten uśmiech melancholijny, to bolesne poddanie się jakimś fatalnym wyrokom. Warszawa ją wiele nie obchodzi. Do teatrów nie chodzi, koncertów nie lubi, na stroje w Saskim ogrodzie nie jest wcale ciekawą. Przeszedłem koło niej trzy razy, i to właśnie wziąłem na siebie po raz pierwszy tużurek od Francuza i świeże rękawiczki od Niveta — ani razu na mnie nie spojrzała. Przeszła tak koło mnie, jakbym był cieniem tylko. A przecież...

Tu wyprostował się „młodzieniec z szykiem“, spojrzał do źwierciadła, które na ścianie przed nim wisiało, i przeciągnął wprawną ręką pomiędzy kędziory swojej głowy. Starszy uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

— Masz przed sobą ciekawą zabawkę. Jeżeli domysły twoje są prawdziwe, to przecież powinna ci się udać wyprawa tak ciekawa. Wyswobodzić młodą ofiarę z rąk starego jastrzębia jest zasługą. Zapłać za kawę.

Trzy ostatnie słowa miały być finałem tej przyjacielskiej pogadanki. Młodszy chciał wprawdzie przeciw temu protestować i pogadankę dłużej przeciągnąć, ale starszy towarzysz jego wziął kapelusz i tym sposobem położył koniec wszelkim przeciwnym zabiegom swego kolegi.

Rozmowa ta dziwnie uderzyła Karola. Wszedł do cukierni z myślą o tych kobiétach, i tuż zaraz na wstępie słyszy o nich rozmowę nieznajomych ludzi. Z rozmowy tej widać, że młodsza kobiéta nadzwyczajnem jest w stolicy zjawiskiem, jeźli na pierwszy rzut oka wszystkich miejskich próżniaków zajmuje. Widać także, że w pojawianiu się tych kobiét w stolicy jest coś tajemniczego, co wszystkim obserwującym w oczy wpaść musi. A miałżeby domysł tego „młodzieńca z szykiem“ być prawdziwym? Miałażby Jadwiga rzeczywiście być narzeczoną jakiego starego sybaryty, który na bezzębne lata swoje upatrzył sobie ten smaczny kąsek?

Karol przypomniał sobie ten cień na białej firance... przypomniał sobie grę dzisiejszą, jakby męzką ręką wykonaną... Ale szybko otrząsł te myśli z głowy, bo były one dla niego straszne, zabójcze!

W tej chwili, kiedy dla odpędzenia tych natrętnych myśli okiem po sali powiódł, ujrzał przy drugim stoliku mężczyznę silnie zbudowanego, który zakrywszy sobie gazetą pół twarzy, czarne przenikliwe oczy na jego twarzy trzymał.

Mężczyzna ten mógł mieć przeszło lat trzydzieści. Czoło miał wypukłe i pełne zmarszczków przedwczesnych. Był silny brunet, a włos gęsty zgolony z brody zostawiał po sobie siną smugę. Miał dosyć duże, czarne wąsy, i pod spodnią wargą zostawiony mały kosmyk włosów.

Uderzyła Karola ta dziwna uwaga nieznajomego bruneta. Snać spostrzegł to brunet i szybko zakrył oczy i czoło francuzką gazetą.

Obawiając się, aby się tutaj nie stał przedmiotem szczególniejszej uwagi, zawołał Karol chłopaka i zapłaciwszy za herbatę, miał się już ku drzwiom — gdy w tem nagle położył mu ktoś rękę na ramieniu.

— A! Pan Fedor — ozwał się Karol — czy pan dopiero przychodzisz?

— A pan już się oddalasz? — zapytał Fedor oglądając się po sali.

— Tak, chcę iść na przechadzkę—może pan pójdziesz?

— A dobrze, dobrze.

Tu odsłonił brunet twarz swoją, biorąc inną gazetę. Fedor patrzał chwilę na niego.

— Nie, zostanę — odparł szybko — chcę przeczytać kilka gazet... Może się gdzie za półgodziny spotkamy? W którą stronę pan idziesz?

— Wejdę na chwilę do Saskiego ogrodu.

— Dobrze. Ja tam pana znajdę.

Karol pożegnał Fedora i wyszedł na ulicę.

XVIII.

W Saskim ogrodzie było dzisiaj bardzo ludno. Główna alea zapchana była aż po samą żelazną bramę.

Karol nie zmieszał się z tym tłumem różnobarwnym. Zboczył na prawo i szukał ścieżki osamotnionej. Dlaczego to czynił, sam nie wiedział. Być może, że dzisiejszem zdarzeniem rozmarzony umysł jego potrzebował wytchnienia i skupienia się w samotnosci, a być może, że przypomniały mu się słowa patrona, że pani Dormundowa z córką lubią te osamotnione ustronia w ogrodzie.

Karol okrążył kilka klombów, zostawił „świątynię grecką“ po lewej stronie i zbliżył się do kilku ławek tuż pod murem stojących, które prócz małych krzaczków żadnego widoku przed sobą nie miały. Ławki te łączyły z sobą dwie ostateczności życia. Czasem zajęte były przez sytych życia emerytów, którym świat młody był nieznośnym, a czasem gruchała tam do siebie czuła para, kryjąca się przed widokiem ludzi i całego świata.

Ku tym ławkom zmierzył Karol. Jedna i druga z nich były próżne. Dla emerytów nie miał kwiecień jeszcze dosyć ciepła, aby w tem ustroniu wilgotnem czas dłuższy przesiedzieć, a par czułych jakoś w tej chwili zabrakło w całym Saskim ogrodzie.

Trzecia ławka była zajęta. Karol się zbliżył i poznał panią Dormundowę z córką.

Zmieszał się na ten widok. Jakkolwiek serce jego żywiej w piersi się odezwało, uważał to jednak za rzecz śmieszną, aby przy tak świeżej znajomości chodzić nieustannie choćby za osobą tak upragnioną, jaką dla niego była Jadwiga. Wyglądało to zawsze, jak na człowieka dojrzałego, nieco dziwnie.

Zawahał się chwilę i sam nie wiedział, co począć. Gniewał się na siebie, że tu, w to ustronie zaszedł, gdzie widocznie nic go innego ciągnąć nie mogło, jak te dwie kobiéty siedzące na samotnej ławce. Wrócić się nie było już czasu, bo go spostrzeżono. Jadwiga pierwsza ujrzała go i szepnęła coś matce do ucha. Matka spojrzała przelotnie na niego, jakby go zatrzymywać nie chciała, i odwróciła twarz swoją w inną stronę.

Nie był to znak dobry dla Karola. Nie wypadało mu jednak ani cofnąć się, ani przejść pomimo nich po świeżych, tak grzecznych zaproszeniach, aby swego towarzystwa im nie odmawiał. Zbliżył się więc do ławki.

— Istny przypadek narzuca znowu paniom towarzysza — rzekł Karol zdejmując kapelusz.

Odpowiedź pani Dormundowej była grzeczna, jak kobiéty dobrze wychowanej. Mimoto wtrąciła po chwili:

— Ale przypadkiem nazywasz pan zapewne nasze ranniejsze spotkanie się tu na tem samem miejscu.

Karol poczerwieniał na twarzy. W rzeczy samej, gdy w siebie spojrzał, widział, że Dormundowa ma słuszność. Ranniejsze spotkanie w tem samem miejscu, i słowa patrona, że w to ustronie najczęściej przybywają, były jedynym i głównym powodem, że tu przyszedł. O przypadku więc nie mogło być mowy.

W słowach pani Dormundowej pomimo grzecznego uśmiechu, którym były osłodzone, dojrzał Karol coś nakształt wyrzutu, a przynajmniej przybijał w nich jakiś niedobry humor. Słowem cała twarz pani Dormundowej mówiła mu w tej chwili, że jest nader niepotrzebnym i że lepiejby było, gdyby się nie był przed niemi zatrzymywał. Wprawdzie z grzecznego uśmiechu i grzeczniejszych jeszcze słów nie każdy mógłby to wnosić, ale Karol przeczuł to sercem, które w tej chwili żyło jakiemś życiem wyjątkowem...

Pogodne jednak wejrzenie Jadwigi zrównoważyło to przykre uczucie. Jej piękne oczy, ustawicznie fosforyzujące, spojrzały tak dziwnie rozjaśnione na niego, tak ciepło przywitały go obok siebie, że zupełnie zapomniał o słowach matki.

— Przed chwilą mówiłam mamie — ozwała się patrząc pełnem okiem na Karola — że dzisiaj kogoś z naszych dawnych znajomych obaczymy w ogrodzie. Jakkolwiek żadnych znajomości tutaj nie mamy, nie bez tego jednak, abyśmy w naszych borach litewskich nie spotkały kiedy jakiego mieszkańca Warszawy. Otóż jednego z tych znajomych myślałam że dzisiaj obaczę. Takie miałam przeczucie, ale mama przeczyła temu.

— I mama przeczyła bardzo słusznie— odparł Karol — bo dotąd żadnego z dawnych znajomych nie spotkałaś pani.

— Jakto? Wszak pan przyszedłeś.

— Nie zaliczasz mnie pani przecież do d a w n y c h znajomych.

— A! Prawda! — wyszepnęła Jadwiga z zamyślonem wejrzeniem — ja pana liczyłam do d a w n y c h.

— Przecież tego powiedzieć nie możesz moje dziecię? — wtrąciła matka z wyrazem nieukontentowania w twarzy.

— Czasami mamo coś nam się wydaje, co się sprzeciwia rzeczywistości — odparła Jadwiga z żartobliwym uśmiechem — a tutaj nawet mogę mieć słuszność za sobą. Pana *** widziałam po raz pierwszy jest temu dwa tygodnie, a czas... czas to jest słowo bardzo elastyczne. Kurczy się ono lub rozciąga stosownie do wewnętrznego naszego uspo-

sobienia. Na przykład, godziny naszego pobytu w stolicy tak są dla mnie krótkie, a gdyśmy były w podróży, przeciągały się w nieskończoność.

Tu spojrzała na matkę jakiemś dziwnem, zagadkowem wejrzeniem. Karol pochwycił to spojrzenie, ale nie umiał go sobie dobrze wytłumaczyć. Zrazu nader przyjemnem było dla niego zdanie Jadwigi o czasie, bo zdawało mu się, że to do niego się odnosiło. Następne jednak zdanie o krótkości godzin w stolicy, objaśnione dla matki jakiemś tajemniczem spojrzeniem, sprawiło na nim nieprzyjemne wrażenie. Zamyślił się, zaczął kreślić na piasku, jak drugi Pitagoras jakieś geometryczne figury. Tymczasem matka skarciła córkę takiem samem tajemniczem spojrzeniem i rzekła:

— Jesteś zawsze dziwnie roztargnioną, moje dziécię! Widać, żeś wyrosła śród borów litewskich. Pan *** gotów powziąć o tobie jak najgorsze wyobrażenie.

— Nie, tego pan *** uczynić nie może — odparła żywo a naiwnie Jadwiga—przecież nie można o nikim źle sądzić bez poprzedniego przekonania się. Prawda, że pan tego samego jesteś zdania?

Tu spojrzała tak dziwnie na Karola, że Karol w samej rzeczy w tej chwili nie mógł mieć innego zdania.

Po chwili jednak, gdy te ciemne iskrzące się oczy w inną stronę się zwróciły, przyszedł nieco Karol do równowagi zmysłów. Począł zwolna rozbierać w duchu te ładne ulotne słówka, które z ust Jadwigi wybiegły.

Dziwnie one kontrastowały z sobą. Oznaczały one na pozór pewną naiwność dziewiczą, ale mogły być także produktem dobrze na efekt obliczonym, który znamionuje liczne doświadczenia serca i duszy. A z tem był w zgodzie wyraz twarzy, który okazywał przebyte cierpienia.

Dziwne te jednak przypuszczenia trwały tylko chwilę. Jadwiga spojrzała drugi raz na niego po odpowiedź. Karol zająknął się, wymówił słów kilka oderwanych i dopiero po chwili odparł:

— Nie wiem czy przy tak krótkiej znajomości zasłużyłem sobie na taki wyrzut. O ile sobie przypominam, mógłbym być posądzony o zdanie wcale odmienne. Gdy mnie furman nad brzegiem Bugu o drogę pytał...

— Wiem, wiem — przerwała śmiejąc się Jadwiga — opisywałeś mu pan drogę z wszystkiemi szczegółami, mówiłeś o złych mostkach i wybojach, o figurach na rozdrożu.

— I cóż ztąd pani wnosiła? — zapytał z uśmiechem.

— Żeś pan nas nie miał za złych ludzi, jeźli z taką drobnostkowością mówiłeś służącemu o przeszkodach drogi. Oznacza to zawsze pewne przychylne...

— Jesteś dzisiaj w wyjątkowem usposobieniu, moja Jadziu — przerwała matka — a chcąc jedno złe naprawić, gotowaś pana *** jeszcze gorzej dla siebie usposobić.

— Nie jestem tak chwiejny w przekonaniach moich — odparł Karol.

— Jest to, jak na dzisiejsze czasy, już dość znaczną zasługą — zauważała Jadwiga.

Widać, że pani Dormundowa nie była kontentna z tego toku rozmowy, który wydawał się jej zbyt śmiałym i wyzywającym ze strony córki, bo skierowała ją na inne, powszednie przedmioty.

Mówiono więc o pogodzie i niepogodzie, o wrzawie wielkomiastowej i o licznych koncertach, wreszcie o strojach i zbytkach Warszawy. Jadwiga mieszała się do rozmowy i objawiała zdania wytrawne, gdzie niegdzie ubarwione różową nicią dziewiczej naiwności.

Jakkolwiek serce Karola było już zupełnie podbite, czasami jednak ozwała się w niem jakaś struna dziwnie brzęcząca, która mu psuła całą harmonię jego szczęścia. Ile razy w zdaniach, w spojrzeniu lub uśmiechu Jadwigi spostrzegł jakiś pozorny kontrast, zachmurzało się czoło jego i dziwne myśli przychodziły mu do głowy.

Zawsze jednak zwyciężało serce. Nieharmonijnie brzęczące akordy nie mogły zagłuszyć tej boskiej melodyi, którą w duszy słyszał, a która stała się już potrzebą jego życia.

Śród tych rojeń, jakie zazwyczaj w obecności ukochanej istoty nachodzą serce rozgorączkowane, przypomniał sobie dzisiejszą grę poobiedną, która nie była podobną do dawniejszej.

— Nie uwierzysz pani — ozwał się do Jadwigi — jaką przyjemność sprawiała mi od tygodnia gra pani.

— To pan słyszałeś? — zapytała zadziwiona Jadwiga — wszak to przez cztery drzwi.

— I dziwna rzecz. Nie wiedziałem kto grał, a jednak podobała mi się ta gra jak dobra książka, choć jej tytuł wydarty.

— Pan jesteś tylko grzecznym — zauważały matka i córka razem.

— Szczerze i otwarcie wyznaję, że gra ta nieznajomego artysty była dla mnie zbawiennym pokarmem w dziwnem rozstrojeniu mojem. Wiedziałem kiedy się zaczyna i kiedy kończy. Wsłuchałem się w nią więcej, niżeli w grę jakiegobądź europejskiej sławy artysty na publicznych koncertach, i jak zgłodniała pszczoła wyciągnąłem z niej wszelką słodycz i woń. I tak się wtajemniczyłem w najsubtelniejsze jej przymioty, że mógłbym tę rękę, z pod której ona wychodziła, poznać pośród tysiąca artystów. Dzisiaj niestety nie poznałem tej ręki. Zdawała mi się obcą...

Matka i córka zamieniły tutaj szybkie spojrzenia. Czoło matki namarszczyło się.

— Zapewne drzwi mniej lub więcej były odchylone — ozwała się — a to wpływa bardzo na muzykę.

— Nie zgodzę się z tem — odparł Karol — to była widocznie jakby inna, pewna siebie, męzka ręka...

Matka nachmurzyła jeszcze więcej czoło i spojrzała na córkę z ukosa. Jadwiga kreśliła coś w piasku.

— Zaręczam panu — ozwała się po chwili z powagą matka — że znajomych tutaj żadnych nie mamy, i prócz adwokata i pana żaden mężczyzna nie powitał w progach naszych.

Karol zamyślił się nad temi słowami, ale wnet przerwała myśli jego Jadwiga.

— Na co tu szukać daleko powodu — rzekła z uśmiechem — dla czego gra dzisiejsza inną wydała się panu. Wszak mama przed chwilą wyraźnie powiedziała, że jestem dzisiaj w wyjątkowem usposobieniu. A wyjątkowe usposobienie nadaje naszej rozmowie, naszym ruchom i naszej grze barwę również wyjątkową. To była najprawdziwsza przyczyna, że gra moja poobiedna wydała się panu zupełnie odmienną od gry, którą pan zwykle słyszałeś.

Wymówiła to z takim spokojem, tak śmiało spojrzała przytem w oczy Karola, że nie można było ani chwili powątpiewać o prawdziwości jej twierdzenia.

— A zresztą — dodała po chwili śmiejąc się — może jeszcze bliższa była przyczyna. Może to był prosty przypadek, że inne nuty wpadły mi do ręki.

W tej chwili samotną ścieżką przeszedł koło nich jakiś wysokiego wzrostu mężczyzna. Karol nie spostrzegł go od razu, dla tego z twarzy nie mógł go widzieć.

Pani Dormundowa i Jadwiga podniosły się z ławki. Zacierając wszelkie nieprzyjemne wrażenia, jakie mógł wywieść Karol z tej rozmowy, ozwała się pani Dormundowa z uśmiechem:

— Dla mnie już czas do domu, bo lekarz nie pozwolił mi zbyt długo bawić w chłodnawem powietrzu. Jeżeli przypadek, który krokami pana kieruje, tak wielce nam sprzyja, to byłybyśmy mu bardzo rade, gdyby się częściej w ten sposób powtarzał. Wieczorami do godziny dziesiątej jesteśmy zawsze w domu. O tym czasie nakazał mi lekarz wypoczynek.

Rzekłszy to podała rękę Karolowi. Jadwiga uczyniła to samo i tym razem nie cofnęła tak prędko małych paluszków swoich, jak to przed obiadem uczyniła.

Karolowi urosło nagle serce w piersiach. Uścisnął serdecznie jedną rękę a jeszcze więcej drugą, i zatrzymał się chwilę, aby za odchodzącemi kobiétami czas niejaki patrzeć.

Z bocznej ścieżki wyszedł w tej chwili mężczyzna o szerokich, pochyłych barkach.

— Szukałem pana po całym ogrodzie i nie wiedziałem, że pan już tak obznajomiony jesteś z miejscowością Saskiego ogrodu. Ławki te przeznaczone są tylko zwierzaniom się miłośnym.

Karol zarumienił się, bo mu jakoś nie w porę było to spotkanie i takie zapytanie.

Fedor nie patrzał w tej chwili na Karola. Ścisnął mu rękę i rzekł:

— Nie mam czasu zatrzymywać cię dłużej, dla tego zostawiam pana w słodkich marzeniach, które rozmarzone serce dosnuwa. Jeżeli mnie oczy nie mylą, to jest coś wcale pięknego.

— Jakto? Widziałeś pan? — zapytał pomieszany nieco Karol przytrzymując go za rękę.

— Nic więcej z panem nie mówię ani słowa — odparł wydzierając rękę Fedor — wiem, że wkrótce przyjdziesz pan sam do mnie z obszernym biuletynem swojej kampanii serdecznej. Adieu.

Rzekłszy to posłał mu pocałunek ręką i zniknął na zakręcie ścieżki.

Karol spojrzał w stronę, w którą obie kobiéty odeszły, ale tam na całej ścieżce było już pusto.

XIX.

Nazajutrz koło południa otworzyły się z cicha drzwi do pokoju Karola i ostrożnie wszedł patron. Przyłożył palec do ust na znak milczenia, postąpił kilka kroków naprzód a podając zdumiałemu Karolowi rękę rzekł do niego:

— Czy niesłychać tu co z pomieszkania pani Dormundowej? *Et viceversa?*

— Jest jeszcze przecież kilka numerów — odpowiedział zaciekawiony tą tajemniczością Karol.

— To dobrze — zawołał śmielej patron, siadając wygodnie na kanapie.

Kilka chwil trwało milczenie. Karol był w niemałym kłopocie. Podejrzywał patrona, że przyszedł do niego po relacyę. W takim razie nie wiedział Karol, coby mu mógł odpowiedzieć. Wkrótce jednak wybawił go patron z kłopotu.

— Muszę panu najprzód powinszować sukcesu — zaczął z góry— i to sukcesu w tak krótkim czasie.

— Zkądże pan to wnosisz? — zapytał z uśmiechem Karol.

— Nie wnoszę z niczego, bo idę właśnie od samego źródła. Byłem u pani Dormundowej w tej chwili.

— Czy miałeś pan jaki prawniczy interes?

— Wcale nie. Pani Dormundowa zawezwała mnie dzisiaj. Rozmawiała ze mną o panu.

Karol zmarszczył czoło. Dziwne wrażenie sprawiły na nim słowa patrona.

— Nie chmurz się pan — ciągnął dalej prawnik — bo nowina, którą panu przynoszę jest nowiną dobrą.

— Ciekawy jestem bardzo tej nowiny.

— Najprzód wypytywała się pani Dormundowa o realne stosunki pana, o familią.

Karol porwał się na nogi. Przebiegł szybko przestrzeń dzielącą go od patrona i zawołał mu nad uchem:

— Jakto? I podobne rzeczy nazywasz pan dobrą nowiną? Chce mnie pierwej oszacować co wart jestem!

Patron patrzał spokojnie czas niejaki na Karola, potem wziął cygaro a zapaliwszy je odparł:



Zamek w Szymbarku.

— Jesteś pan gorączka. Jeżeli matka tak troskliwie o kogoś się wypytuje, jak to dzisiaj czyniła pani Dormundowa, to jest niechybną oznaką, że tego „kogoś“ serduszko córki podług swego cennika już oszacowało. Troskliwa więc matka sprawdza ten szacunek na swój sposób. Czy matce to za złe mieć można? Zresztą, pierwszy lepszy urwisz może się tak samo porządnie ubrać, mówić tak, jak pan mówiłeś, więc ma zaraz matka wraz z córką oddać mu się w ręce? W romansach to wprawdzie na te rzeczy nie zważają.

Karol pomyślał chwilę. Przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Prawda, masz pan słuszność — ozwał się po chwili — nie widzę w tem nic, coby mi ubliżało.

— Ależ dobrodzieju, to tylko podchlebiać może. Jest to znak, że już intencje pana zmiarkowano. A zresztą czego się pan obawiasz? Przyznam się panu, gdym się pierwszy raz dowiedział, że pan masz być moim rywalem, nie patrzyłem jak pan wyglądasz lub jak mówisz z panną Michaliną, ale pobiegłem do hipoteki i zajrzałem do litery C. Niestety, i ztamtąd dowiedziałem się, że byłeś dla mnie nader niebezpiecznym. Jakkolwiek to niebezpieczeństwo dzisiaj znacznie się zmniejszyło, a nawet według mego przekonania zupełnie minęło, wiadomości jednak hipoteczne o panu posłużyły mi do dania szczegółowych wyjaśnień na wszystkie zapytania pani Dormundowej, z czego zdawała się być bardzo zadowoloną.

— Jakkolwiek jest to ze strony pani Dormundowej nader rozsądnie, jednak, przyznam się panu...

— Wiem co pan chcesz powiedzieć. Otóż z mojej strony mówię panu, że to ja sam, z własnych chęci rozszerzałem się nieco w moich odpowiedziach tyczących się hipoteki. Zapytania pani Dormundowej były skierowane z początku w inną stronę... Pytała mnie najprzód... Czyście mówili co o rzeczach politycznych?

— Broń Boże! Nie dotknęliśmy tej materyi ani słówkiem!

— Stało się to zapewnie przez jakieś nieporozumienie. Chciała bowiem odemnie wiedzieć, czem pan jesteś pod względem patryotycznym. Z tego powodu musiałem jej wyświecić realną pozycyę pana, i ztąd wziąłem assumpt mówienia o hipotece. A ta dowiodła, że pan nie jesteś żadnym przemysłowcem ani —

Tu urwał patron, bo mu właśnie cygaro zagasło. Podczas gdy cygaro sobie zapalał, przeszedł się Karol kilka razy zamyślony po pokoju. Nagle zatrzymał się i rzekł do patrona:

— Gdy się bliżej nad tem zastanawiam, nic w tem dziwnego nie widzę. W pierwszym dniu naszej znajomości mówiliśmy z sobą tak szczerze i otwarcie, jakbyśmy beczkę soli z sobą zjedli. Przy bliższej refleksyi zapewnie uderzyło to je, a przecież na czole nie mam napisane, kto jestem. Podobny proces zapytań i wywiadywań odbywa się mniej więcej przy każdej naszej znajomości, tylko nie każdy ma tak usłużnych przyjaciół, którzy mu o tem zaraz relacyonują. (Tu z uśmiechem podał rękę patronowi). A panna Jadwiga także się pytała?

— Panna Jadwiga nie była nawet obecną. Zdaje się, że nieubrana zajmowała się tymczasem fortepianem.

— Wdzięczny jestem za przyjaźń pańską — rzekł w końcu Karol ściskając go za rękę.

— Było to moim obowiązkiem — odparł patron biorąc kapelusz do ręki.

W progu odwrócił się do Karola i dodał:

— Ale *a propos!* Jak pan będziesz u Michaliny, niech pan zgani jej nową fryzurę. Kazała sobie czesać włosy „*a la Negritine.*“ Powiedz pan, że to szkaradnie. Będzie to dla mnie satysfakcya za tego przebrzydłego Bolesława, który tę fryzurę nadzwyczaj chwalił.

Karol obiecał uczynić zadość życzeniu patrona i obaj pożegnali się serdecznie.

XX.

Od tego czasu upłynęło kilka tygodni. Były to najpiękniejsze chwile w życiu Karola.

Z obowiązku tylko był raz czy dwa razy u starego pułkownika, dwa razy u panny Michaliny a raz u rejenta. Resztę czasu spędzał w hotelu nie przekraczając jego progów.

Pani Dormundowa była dla niego nader uprzejmą. Witała go zawsze z twarzą rozjaśnioną, a gdy się żegnał, prosiła, aby jutro o nich nie zapomniał. Przy dłuższych rozmowach okazało się nawet, że znała jego nieboszczkę matkę, którą gdzieś u zagranicznych wód widziała, i wiele dobrego o niej mówiła.

Jadwiga roztaczała przed nim z całą naiwnością coraz więcej skarbów swoich, które zdawały się być nieprzebrane. Codziennie ujrzał w niej coś, czego jeszcze wczoraj nie widział. Czy to na polu nauki, czy wrodzonych przymiotów kobiecych, odsłaniała przed nim nowe zasoby, które mu jeszcze wcale nie były znane. Przychylność jej dla niego była tak widoczną, jak siostry dla brata. Zdawało się, że od dzieciństwa już się znają z sobą, że kontynują dzisiaj znajomość i przyjaźń zawartą przed laty kilkunastu.

I tak szczęśliwie i cicho mijał jeden dzień po drugim. Karol zapomniał, że mieszka w stolicy, która ma tysiączne rozrywki. Tłumy mieszkańców snujące się przed nim na ulicach i miejscach publicznych, wydawały mu się jak szare, mgliste obłoki, przesuwające się w dziwnych kształtach po niebie marcowem. W koło siebie słyszał tylko jakiś głuchy, niezrozumiały gwar wielkomiastowy. Wszystko inne było mu obojętne.

Prawie dwa razy codziennie widywał Jadwigę. Raz w południowych ciepłych godzinach na ustronnej ławeczce w Saskim ogrodzie, drugi raz wieczorem w domu. Wieczor ten miał dla niego urok tysiąca i jednej nocy. Prócz niego nikt tam więcej nie bywał. Wieczorki te spędzano w różny sposób. Czasami grała Jadwiga a Karol oparty o poręcz fotelu wsłuchiwał się w tę cudną grę, w którą tyle własnych myśli i uczuć wlewał. Czasami przyniósł z sobą jaką książkę, i naprzemian Jadwiga i on czytał z niej zajmujące ustępy. Niektóre zaś wieczory zajmowała ożywiona rozmowa. Opowiadano sobie różne rodzinne zdarzenia, w które mianowicie obfitowała rodzina pani Dormundowej. Wieczorki te trwały regularnie tylko do dziesiątej. O tej godzinie szła pani Dormundowa na spoczynek.

Z obowiązku prawie był u panny Michaliny tylko dwa razy. Panna Michalina wyglądała zawsze bardzo ponętnie. Włosy miała utrefione *a la Negritine*, mimo że się to patronowi okrutnie nie podobało. Było jej jednak z tem bardzo do twarzy, jak to jej zawsze pan Bolesław mówił. Patrząc na nią zapomniał Karol, o co go patron prosił, a nawet możnaby go posądzić, że wcale nic o fryzurze panny Michaliny nie wiedział. Był przez cały czas zamyślony, dziwnie roztargniony, i na dowcipne słówka nie zawsze trafne dawał odpowiedzi. Zdawało mu się, że mu ciągle brak czegoś. Myśli jego błąkały się gdzieś daleko, przeskakiwały znaczne przestrzenie i gubiły się w dalekiej, ślniącej cudnemi barwami perspektywie.

Wobec Jadwigi był jednak zupełnie innym człowiekiem. Wszystkie myśli jego i marzenia wracały ze wszystkich stron jak wypuszczone sokoły i skupiały się tylko koło niej. Atmosfera, w której żyła, odgraniczona czterma ścianami, była dla niego całym światem, po za którym nie miał nic do życzenia.

Pani Dormundowa widocznie sprzyjała jego marzeniom i uważała go prawie za starającego się o córkę. Jadwiga patrzała na niego jak kobiéta, która już wszystko odczytała, co w jego sercu do odczytania było.

Wszyscy więc troje zdawali się wyczekiwać tylko pierwszej, sposobnej chwili.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZAMEK W SZYMBARKU.

W obwodzie jasielskim, pomiędzy Gorlicami a Grybowem, przy głównym trakcie prowadzącym z Jasła do Sącza, nad rzeką Ropą leży niewielka wieś Szymbark. Okolica tej wioski jest bardzo malownicza: otacza ją wieniec pagórków, łączących się z podgórzem Karpat, poprzerywanych wyłomami i wąwozami, dodającemi całemu krajobrazowi rozmaitości i wdzięku. Środkiem doliny rozścielonej u stóp tych pagórków, pomiędzy łąkami i zagonami ornej roli, snuje się śrebrna wstęga Ropy, bystrej i dosyć głębokiej rzeki, uchodzącej pod Jasłem do Wisłoki. W nurtach Ropy przeglądają się wyniosłe, zczerniałe mury zamku, największej ozdoby Szymbarku, który wiernie przedstawia nasza rycina. Zamek szymbarski zbudowany jest w czworobok, mając na każdym rogu wysoką basztę, i znajduje się w dosyć dobrym stanie. O założeniu tego poważnego gmachu i o dziejach jego nie wiemy nic wcale, albo tyle co nic. Podanie niesie, że tu istniał przed wielu wiekami już zamek założony przez Kazimierza Wielkiego. Od tego czasu przechodził zamek Szymbarski zapewnie bardzo rozmaite losu koleje, i pewnie jak wszystkie spółczesne mu zamki nasze bywał nieraz spustoszonem rumowiskiem i napowrót z gruzów się dźwigał. Tak w XVII wieku miał go Rakoczy po krótkiem oblężeniu zdobyć i zniszczyć ze szczętem. Czy dzisiejszy zamek stoi na posadzie dawnego Kazimierzowskiego zamczyska, ilu on od tego czasu uległ przekształceniom, wszystko to jest tajemnicą. W kronikach nic o jego dziejach nie zapisano, a podania, jeżeliby jakie były, przebrzmiały. Nie mógł on też być nigdy bardzo warownym, gdyż leży w dole otoczony dokoła i to w małej odległości wyniosłemi wzgórzami, które nad nim dominują. Dzisiejsi właściciele Szymbarku nie mogąc łożyć kosztów na utrzymanie zamku w dobrym stanie, a chcąc spożytkować silne jeszcze mury i sklepienia, założyli w nim gorzelnię. Po komnatach zamku szymbarskiego miasto rycerskiej wrzawy i ochoty biesiadnej kipią więc dzisiaj i szumią machiny parowe, a pełne gorzałki kufy i kadzie zacierowe, zastępują miejsce dawnych rynsztunków!

KRONIKA.

Z kraju.

Pomór w dziennikarstwie krajowem. — Nasze czasopisma literackie i nasi krytycy. — Nowiny. — Trójka, powieść p. Stachurskiego. — Nowe książki. — Teatr. — Ruch stowarzyszeń we Lwowie. — Zakłady naukowe.

Złowieszcze przewidywania co do losu znacznej części naszych pism peryodycznych przy teraźniejszej, tak mocno powiększonej ich liczbie, zaczynają się sprawdzać. Nieubłagane fatum dosięgło najpierw „Gminy," która z końcem zeszłego miesiąca przestała wychodzić. „Gazety wiejskiej" pojawił się dopiero trzeci numer, bez ogłoszenia, kiedy wyjdzie numer czwarty. Nie odstrasza to wydawców, albowiem, jak słychać, ma się wkrótce pojawić w Krakowie nowy wielki dziennik polityczny p. t. „Kraj". We Lwowie, oprócz znacznej liczby innych pism literackich, i takich, które pragną uchodzić za literackie, pędzą dalej swój żywot „Nowiny," chociaż głoszono, że wydawnictwo ich będzie zawieszone. Miały nawet połączyć się z „Chochlikiem," i przemienić się w pismo ilustrowane z dodatkiem humorystycznym, ale to przymierze zadumy ukraińskiej z galicyjskim dowcipem nie przyszło do skutku, jako zbyt nienaturalne.

Jeden główny, słuszny bardzo zarzut robią zwykle wszystkim naszym czasopismom literackim, t. j. ten, że brak im charakteru pism czasowych. Drukują się w nich często bardzo dobre rzeczy, ale rzeczy, które mogłoby również wychodzić jako osobne publikacje. Natomiast żadne z tych czasopism nie daje dokładnego obrazu ruchu literackiego, naukowego i artystycznego w kraju i za granicą. Jest to brak, który sprawia, że publiczność nasza dowiaduje się niedokładnie i bardzo poźno o usiłowaniach polskich pracowników w pomienionych gałęziach, a o literaturze i sztuce zagranicznej woli czerpać wiadomości z obcych dzienników, których się u nas nader wielka liczba rozchodzi.

Na nieszczęście, zarzut powyższy spada przeważnie na te czasopisma, których redakcye przy większej pilności i dobrej chęci mogłyby ze znajomością rzeczy i trafnem ocenieniem każdego przedmiotu prowadzić w sposób wyczerpujący rubrykę recenzyi literackich i artystycznych. W takich bowiem właśnie pismach ten ważny dział najmocniej jest zaniedbany. i zaledwie od czasu do czasu znajduje się w nich jakaś pobieżna wzmianka o nowo wydanej książce, o obrazie albo o przedstawieniu teatralnem. Mamy znowu dzienniki, które piszą o wszystkiem, bo mamy znowu dziennikarzy, którzy podejmują się każdej pracy, nie zastanawiając się nawet nad tem, czy mają do niej uzdolnienie. I tak, niejeden młodzieniec, któremu udało się skończyć gimnazjum z powodu nieprzezwyciężonych trudności, jakie dla niego przedstawiała historya powszechna Pütza, teraz, uchwyciwszy za pióro, utnie bez namysłu recenzję o pierwszem lepszem ważnem dziele historycznem, a niejeden, którego odpalono przy popisie dojrzałości z powodu, że nie wiedział, czy Mesjada Klopsztoka należy do rodzaju poezyi dramatycznego, epickiego, czy lirycznego — teraz dzierży w swojem ręku gromy krytyki teatralnej i literackiej. Jest to stan rzeczy nader opłakany, tak opłakany, że od kilku lat nie pojawiło się w literaturze naszej i w sztuce nic tak doskonałego, czegoby krytycy tego lub owego pisma nie traktowali z lekceważeniem, i nic tak lichego, czegoby znowu ci szanowni Arystarchowie nie podnieśli pod niebiosa. Jeżeli jest coś, coby nas mogło pocieszyć w tej mierze, to chyba to, że gdzieindziej w Polsce nie inaczej się dzieje. Jako dowód, przytoczymy tu tylko Kronikę Warszawską „Gazety Toruńskiej" z dnia 9. lutego r. b., gdzie jest mowa o najśmielszych plagjatach, jakich się kiedy dopuszczono w literaturze dramatycznej, jak gdyby o oryginalnych arcydziełach. Nie godzi się w ten sposób wprowadzać w błąd publiczność i dla utworów gorzej niż wątpliwej wartosci robić po prostu kupiecką reklamę. Najmniej zaś już godzi się i najmniej odpowiada moralnym zobowiązaniom, jakie każda redakcya ma wobec publiczności, dozwalać korespondentom, by pod osłoną bezimienności zachwalali własne swoje utwory. Nie powiadamy, gdzie i kiedy to się stało, ale stało się niestety... Inne redakcje są znowu pod tym względem aż nadto sumienne, i tak np. Dziennik Literacki nie umieścił dotychczas recenzyi powieści p. Stachurskiego p. t. Trójka, ponieważ powieść ta pierwotnie drukowaną była w tym dzienniku.

Nowiny oburzyły się niedawno na dwa pisma polskie, że nie nadmieniły nawet o pojawieniu się Trójki w osobnem wydaniu. W Gazecie Warszawskiej spotkaliśmy się z recenzyą tej powieści, i mimo szczerych sympatyi dla autora musimy wyznać, że zgadzamy się zupełnie z uczynionemi mu tam zarzutami. Nie znajdujemy w Trójce ani realnej prawdy, tej prawdy, z którą tak po mistrzowsku umieją obchodzić się angielscy głównie powieściopisarze, ani tego uroku, jaki fantazja i polot poetyczny może nadać przedmiotom niekoniecznie branym z codziennej rzeczywistości. Są tam tylko źle rysowane postacie, w dziwacznem oświetleniu i jednostronne poglądy na społeczeństwo, nacechowane tym pośmiertnym odblaskiem różnych doktryn światozbawczych, które w całym świecie już przedyskutowane, przeżute i zarzucone, znalazły były na jakiś czas schronienie na uniwersytecie kijowskim, dokąd zawędrowały z Petersburga po odkryciu liberalizmu europejskiego przez studentów moskiewskich. Za Kordon koło Brodów i Husiatyna dostaje się wszystko w pięćdziesiąt lat poźniej, nic dziwnego, że to, co w XVII. stuleciu było nowem w Anglii, a w XVIII. we Francyi, w XIX. jako rzecz nowa i niesłychana pojawiło się nad Dnieprem. Świat tymczasem znalazł już tant bien que mal sposoby pogodzenia teoryi z nieubłaganą praktyką i rzeczywistością, a wiele krwi przelał i wiele zawodów doznał, nim się przekonał, że inaczej być nie może. Ale doświadczenie Zachodu, dla Wschodu jest straconem. Tam chcą koniecznie społeczeństwo ludzkie zbawiać na nowo i od razu.

Z pomiędzy książek, które wyszły w przeszłym miesiącu, wymieniamy jako godniejsze uwagi Czarną Księgę autora powieści o Horożanie, p. Wł. Czaplickiego, wydaną w Krakowie, i Zarysy historyczne pana Kalickiego, wydane we Lwowie na dochód fundacyi imienia Karola Szajnochy.

Teatr polski we Lwowie w jednym głównym kierunku wytęża swoje siły, ażeby wzbudzić zajęcie publiczności. Nigdy jeszcze takiego mnóstwa nowych sztuk, oryginalnych i tłumaczonych, nie przedstawiono w tak krótkim czasie, jak teraz od Nowego roku. Oczywista rzecz, że siły tak szczupłego towarzystwa, jak tutejsze, są w skutek tego bardzo wytężone. Przytem muza niemiecka tak samowładnie panuje w gmachu skarbkowskim,, iż przed każdem przedstawieniem polscy aktorowie zaledwie jedną próbę mogą odbyć na scenie. Nic dziwnego, że skargi artystów i publiczności na tak podrzędne stanowisko, pozostawione teatrowi polskiemu, mnożą się codziennie. Skargi te dały powód do zawiązania się Towarzystwa w celu popierania sceny narodowej, które wkrótce ma wejść w życie.

Nakładem wydawcy „Strzechy“ F. H. Richtera, wyjdzie wkrótce II. część znanej czytelnikom naszym powieści B. Bolesławity: „Bezimiennej,“ wydanej także w osobnem odbiciu. Ta część II. nosi osobny tytuł: „Drugie życie,“ ale wyjdzie w takim samym formacie jak część I., i ci, którzy posiadają już część I., będą mogli nabywać drugą osobno. To samo prawo, i to ze zniżeniem nawet ceny o trzecią część, przysłużać będzie abonentom „Strzechy,“ wobec których możemy to osobne wydanie II. części usprawiedliwić tem, że wydawca sam się jej nie spodziewał i otrzymał ją dopiero teraz, t. j. za poźno, by mogła być drukowaną w bieżącym roczniku „Strzechy,“ a zawcześnie, by ją zatrzymać do następnego; zresztą dodajemy to jeszcze, że „Bezimienna“ stanowi zupełną całość dla siebie i nie wymaga koniecznie części II.

Z ustaniem krótkiego ale nader żwawego w tym roku ruchu karnawałowego, rozpoczęła się pora posiedzeń i zgromadzeń. Towarzystwo kredytowe, Towarzystwo agronomiczne, odbyły swoje zebrania. Odbył się także bardzo liczny zjazd członków Towarzystwa pedagogicznego, około 200 nauczycieli z różnych stron kraju wzięło w nim udział. Mniemamy, że dowodzi to wielkiej żywotności Towarzystwa. Przedsięwzięto nowe wybory do wydziału. Dla dalszego rozwoju Towarzystwa byłoby to bardzo niepomyślnem, gdyby się sprawdziło, że pan Jan Dobrzański, właściciel Gazety Narodowej nie chce tą razą przyjąć wyboru. Pan Dobrzański w roku zeszłym z niezmordowaną gorliwością zajmował się sprawami Towarzystwa i zawdzięcza mu ono w znacznej części swoje powodzenie. Wykłady dla kobiét przyszły do skutku jego głównie staraniem. Kto się przypatrzył bliżej niektórym naszym stowarzyszeniom, ten pojmie z łatwością, że często gorliwość jednego człowieka robi więcej, niż wszyscy stowarzyszeni razem. Towarzystwo Pomocy Naukowej wpadło w odrętwienie z powodu, że nie ma w wydziale nikogo, ktoby panów wydziałowych umiał zachęcić, by się zeszli na jedno przynajmniej posiedzenie. Zdałby się tam także jaki duch ożywczy, któryby wszystko w ruch wprowadził, zdałby się w wielu innych naszych korporacyach, nie wyłączając owych „ozdobnych a nieszkodliwych“ kwiatów selfgovernmentu powiatowego i gminnego, których czynności leżą po za obrębem programu „Strzechy.“

Również z zakończeniem karnawału przypadło także zamknięcie kursu szkolnego w naszych zakładach naukowych tak publicznych jak i prywatnych. O pierwszych trudno coś powiedzieć, bo nasze szkoły, osobliwie średnie, ani nie odbywają teraz popisów publicznych, ani też nie podają żadnych sprawozdań do wiadomości profanów. Natomiast możemy z przyjemnością skonstatować, że prywatne nasze zakłady naukowe, mianowicie żeńskie, rozwijają się coraz świetniej, i kto tylko miał sposobność przysłuchać się popisom w zakładach pań Pożakowskiej, Selingerowej i Wasilewskiej, przyzna wraz z nami, że były one pod każdym względem zadowalniające.

Ze świata.

(Moskiewskie odczyty popularne w Syberyi). Poczytujemy sobie za zaszczyt, że od jakiegoś czasu miewamy liczne i dobre odczyty popularne, które przyczyniają się wielce do szerzenia oświaty w naszym kraju; ale niktby się nie spodziewał, jak dalece wyprzedzili nas w tym względzie czynownicy moskiewscy na Sybirze. Na dowód tego niechaj posłuży następujący ciekawy ustęp z „Czarnej księgi“ (p. Wł. Czaplickiego), wobec którego mogą iść w kąt wszystkie nasze prelekcye popularne. Oto czytamy tam:

Pewien zasidatiel w Minusińskim okręgu potrzebuje pieniędzy, a potrzebuje wiele, bo wiele wydaje, jeszcze więcej przegrywa w karty, a tu wszystkie źródła już wyczerpane. Myśli więc, myśli i napróżno suszy sobie głowę, niestety nie ma już żadnego sposobu wydobycia znaczniejszych pieniędzy.

W tem otwierają się drzwi i wchodzi chodak (rodzaj woźnego) i przynosi z poczty papiery. Pan zasidatiel chciwie przerzuca je, czyta każdy papier z osobna, na jego twarzy widać niezadowolenie, już i chmurka gniewu na mądrem ukazała się czole, a pan zasidatiel jeszcze i połowy papierów nie przerzucił. Nagle wypogadza się czoło pana zasidatiela, zniknęły chmurki, rozjaśniło się oko, zadrgały wąsy i usta uśmiechnęły się mile.

Oto otrzymał właśnie od sprawnika mniej więcej następujące rozporządzenie gubernatora: „Panom sprawnikom zaleca się, aby przez panów zasidatieli — co do istniejących ustaw państwa i przepisów — oświecali lud i w razie potrzeby tłumaczyli odnośne paragrafy, każdy z osobna“.

Rozradowało się serce pana zasidatiela; pan zasidatiel z takiego rozporządzenia umie korzystać tem łatwiej, że w chwili otrzymania odnośnego rozporządzenia, właśnie rozpoczęły się żniwa.

Zasidatiel natychmiast przywołuje starszynę (wójta) i całą wiejską starszyznę i nakazuje, ażeby nazajutrz o 10. godzinie rano stawili się do jego mieszkania wszyscy wiejscy gospodarze.

W porze żniw w Syberyi zwyczajnie bardzo wielkie upały, słońce dopieka więcej niż u nas. O godzinie 10. właśnie nieznośny zaczyna się upał, ale kazał p. zasidatiel, nikt sprzeciwić się nie ma odwagi. Przychodzą więc gospodarze, a pan zasidatiel oczekuje gromadę w namiocie rozpiętym przed domem. W namiocie stolik i krzesło a na stole stosy ksiąg olbrzymich.

Pan zasidatiel odczytawszy rozporządzenie gubernatora, i wskazując na księgi oświadcza, że odtąd każdego dnia od 10. rano do 1. w południe, a po południu od 4. do 7. odbywać się będą odczyty i tłumaczenia istniejących ustaw pań-

stwa i przepisów rządowych, i równocześnie przystępuje do czytania, tłumaczenia i wypytywania.

Pan zasidatiel siedzi wygodnie pod obszernym namiotem, gdy gospodarze, biedne jego chciwości ofiary, wśród letniej sybirskiej spiekoty stoją z odkrytemi głowy. Słońce dopieka, pali, leje się pot, ale bez korzyści dla nich, bo roboty czekają ich w polu, czas nagli, dni kilka straconych,— może być już za poźno, a oni dzień cały trawią na niczem, a dzień ucieka, i jesień a za nią i śnieg tuż na karku.

Gospodarze proszą, błagają, ażeby odczyty odłożono na poźniej. Zżyma się pan zasidatiel i oświadcza wyraźnie, że musi wypełniać wyższe rozkazy, że nie może narażać się na gniew gubernatora, że dla nich nie może narażać się na utratę służby, a w końcu ruszając ramionami, dodaje: Ha! uwidim! Puść' prijdiot pośle komnie starszyna ili gołowa (Ha! zobaczymy! Niechaj poźniej przyjdzie do mnie starszyna albo gołowa.)

Starszyna przychodzi, a z nim w cztery tylko oczy wyraźniej mówi pan zasidatiel. Starszyna wręcza rubli 50, ale zasidatiel żąda i w końcu otrzymuje 100 rubli.

Nazajutrz ogłasza mały ów carzyk, że uwzględniając czas żniw i pilne w polu roboty, odkłada odczyty na czas poźniejszy. Ta sama scena powtarza się we wszystkich wioskach powierzonej jego rządom wołości.

Na wiosnę znowu próba odczytów, znowu wobec pilnej roboty, z każdej wioski po 50 albo 100 rubli idzie do kieszeni; i oto jedno z obfitszych źródeł, z którego czynownicy moskiewscy umieją czerpać dochody!

Jakąż — powtarzamy — mają wobec tego wartość nasze odczyty popularne!

(Zabawny proces) wytoczony został niedawno w Mastricht w Belgii. W dniu, w którym sławna spiewaczka Patti występowała w Lüttich w Łucyi z Lammermooru, przybyło tam czterech mieszczan z Mastrichtu i zrobili następujący układ: „Patti śpiewa dziś w operze 4aktowej; nas jest czterech; kupmy więc jeden bilet; każdy z nas pójdzie na jeden akt, i wszyscy możemy słyszeć sławną spiewaczkę tanim kosztem.“ I tak się też stało. Kupiono bilet; spólnicy poszli do kawiarni, pociągnęli losy, kto po kim ma następować, i gdy jeden zachwycał się spiewaczką, drudzy tymczasem pokrzepiali się pończykiem. Tak szło kolejno przez trzy akta, aż wreszcie poszedł ostatni. Ale można sobie wyobrazić jego uczucie, gdy wszedłszy do teatru usłyszał tenora spiewającego: „Lucia est morte“ (Łucja nie żyje). Oburzony wpada napowrót do kawiarni, zżyma się na swoich spólników i wyrzuca im, że go okradli, jak rabusie wędrowca w lesie. Nastąpiła naturalnie zabawna scena. Spólnicy tłumaczą się: „Cóż my temu winni, że Patti umiera po trzecim akcie? Taki był wyrok nieba.“ Ale czwarty nie chciał nic słuchać i domagał się koniecznie, aby mu zwrócono część jego, zapłaconą za bilet; a gdy spólnicy oparli się temu, zaskarżył ich do sądu. Ciekawa rzecz, jak też Salamonowie Mastrichtu rozstrzygną ten zabawny proces?

(Londyński Dower). W Londynie wyszło właśnie pod tyt.: „Her Majesty's Tower“ dzieło Hepwortha Dixona, które opowiada obszernie i w zajmujący sposób historyę tego sławnego więzienia londyńskiego. Jeden rozdział dzieła zajmuje się wiekiem tego starożytnego pomnika historycznego i czytamy tam między innemi co następuje: „Jak daleko sięga pamięć ludzka, niema Dower żadnego rywala pomiędzy pałacami i więzieniami całego świata; jego początek gubi się podobnie jak Sfinksa lub Iliady w pomroce wieków, na długo przedtem, nim historya nasza przybrała wyraźniejszą formę. Wszyscy pisarze odnoszą go do czasów Cezara, a nawet podana przez Szekspira i innych poetów legenda wiąże imię Cezara z Dowrem; zresztą w pobliżu rowu, otaczającego ten gmach potężny, odkryto niedawno szczątki rzymskiego muru. Budowa gmachu, który dziś widzimy, została rozpoczętą przez Wilhelma zdobywcę, a ukończoną pod panowaniem rozmaitych królów normandzkich, którzy mieli w nim swoją rezydencyę. Wobec Dowru, liczącego 800 lat wieku historycznego, a 1900 lat sławy tradycyjnej, są wszystkie inne pałace i więzienia stanu istnemi dzieciuchami. Najstarszy pałac w Europie, zachodnia połać burgu cesarskiego w Wiedniu, pochodzi z czasów Henryka III. Kreml w Moskwie, pałac Dożów w Wenecyi, należą do XIV wieku. Seraj w Stambule powstał pod panowaniem Mahometa II. Najstarszą część Watykanu zbudował Borgia, którego też imię nosi ona. Stary Luwer rozpoczęty został pod panowaniem Henryka VIII., Tuilerye za czasów Elżbiety. W czasie angielskiej wojny domowej był Wersal jeszcze bagniskiem. Sanssouci i Eskurial należą do XVIII wieku. Seraj w Jerozolimie jest budynkiem tureckim. Pałace w Atenach, Kairze i Teheranie są dziełami nowożytnemi. Oprócz więzienia St. Angelo w Rzymie, nie może żadne inne równać się z Dowrem co do wieku. Bastylia nie istnieje już; Bargello zamienione na muzeum. Więzienia w Vicennes, na Spielbergu, kazamaty w Spandawie i Magdeburgu, wszystko to są budynki nowożytne w porównaniu z więzieniem, z którego w roku 1100, daty pierwszej wyprawy krzyżowej, umknął Ralf Flambard.“

(Kto był wynalazcą całusa?) Jak każda rzecz na świecie, ma i całus swoją historyę, i dzięki badaniom dzisiejszych estetyków, którzy zdaniem naszem — a zapewnie i czytelniczek naszych — słusznie zaliczają całus do kategoryi „piękna,“ posiadamy już teraz niejeden ciekawy szzzegół tej historyi. Badania te nie dotarły wprawdzie jeszcze do samego źródła, t. j. nie wykryły stanowczo, kto był właściwym wynalazcą całusa; ale mimo to zdaje się nie podlegać już żadnej wątpliwości, że zaszczyt i zasługa tego wynalazku należy się głównie piękniejszej połowie rodzaju ludzkiego. Przynajmniej wskazują to rozmaite starożytne podania, z których przytoczymy tu najciekawsze.

W dawnym Rzymie zabraniała stara ustawa Rzymiankom używać wina. Ażeby zaś dociec, czy istotnie zachowują one to przykazanie, włożono zarazem obowiązek na mężów, by nadstawiając ust żonom i najbliższym kuzynkom swoim, tak młodym jak i starym, przekonywali się tym sposobem, czy oddech ich nie tchnie winem. Otóż wieść niesie, że ówczesne piękności, zapewne wiedzione chwalebną chęcią przekonania mężczyzn o swojej czystości i poszanowaniu dla prawa, zasmakowały tak dalece w składaniu prób tego rodzaju, iż korzystały skwapliwie z każdej sposobności, jaka nadarzała się ku temu. Z czasem też rozciągnęły one ten obowiązek swój także na dalszych ku-

zynów, narzeczonych itd.; rzecz stawała się coraz interesowniejszą dla stron obudwu, i w końcu przyszło do tego, że ustawa poszła zupełnie w zapomnienie, a pozostał tylko zwyczaj całowania się, nie połączony wcale z kontrolą wina.

Tak utrzymują jedni. Drudzy zaś odnoszą początek tego symbolu miłości do innego wypadku w dziejach starożytnych. Oto ich podanie:

„Po zburzeniu Troi błąkali się długi czas bez przytułku Trojanie i Trojanki, którzy uniknęli miecza i ognia. W końcu jednak zebrali się wszyscy i postanowili puścić się na morze dla wyszukania innego kraju. Wsiedli tedy na okręt, przybyli do Włoch, i wpłynąwszy do Tybru wylądowali na brzegach jego. Męzka część przybyszów udała się na ląd, ażeby wynaleźć miejsce dogodne na założenie kolonii; niewiasty zaś, znużone długą podróżą morską, chciały mężom swoim odjąć chęć do dalszej żeglugi i naradzały się, jakby to uskutecznić.

Po dłuższej rozprawie zgodzono się wreszcie na to, by podpalić statki, i plan ten został natychmiast wykonany. Zaledwie kilka godzin upłynęło, były już wszystlkie okręta spalone.

Trojanie spostrzegłszy zdala łunę pożaru, pospieszyli przerażeni na pomoc. Przyczyny pożaru nie podobna było zataić, i niewiasty po dokonaniu tego bohaterskiego dzieła przejął strach wielki. Ażeby tedy przytłumić w zarodzie wybuch gniewu swych mężów, postanowiły spiesznie i jednomyślnie, wybiedz naprzeciw nim z otwartemi rękoma, pochwycić ich w swoje objęcia i ustami swemi zatkać im gębę otwierającą się dla przekleństwa.

To przyjęcie nadzwyczajne, ale zresztą wcale przyjemne i poparte pieszczotami kobiét, nie chybiło zamierzonego celu. Trojanie pozostali na miejscu, zajęli kraj i zbudowali miasto, to samo, które znamy dziś jeszcze pod nazwą Rzymu.“

Podanie to sprzeciwia się wprawdzie, szczególnie co do ostatniego ustępu, wszelkim dotychczasowym przepuszczeniom, ale to nie ma nic do rzeczy. Na pamiątkę tej czułości Trojanek — dodaje owe podanie — utrzymał się dotąd w Rzymie zwyczaj całowania, i przeszedł zapewnie jak rozmaite inne zwyczaje aż do naszych czasów.

I my też poprzestalibyśmy chętnie na tem podaniu, gdyby nie głosy szkaradnych niedowiarków, którzy utrzymują, że całus jest równie starym, jak ród ludzki, a nawet starszym jeszcze; bo nim jeszcze Adam i Ewa mogli używać tego telegrafu serdecznego, całowały się już dziubkami gołębie raju, i w ogóle można przypuszczać, że od nich, t. j. od tych gołębi, wyszła pierwsza myśl tego zwyczaju, panującego dziś na całym świecie. Że zresztą całus starszym jest od Rzymu, świadczy o tem „stary testament,“ gdzie w kilku miejscach jest mowa o pocałunku czci, jak np. w księdze Hioba. Nawet ojciec Homer, czyli właściwie zebrane pod tem imieniem starogreckie poemata, wspominają już o całusie. Dość że całowanie było już znane ludom starożytnym, i służyło u nich, jak i dziś jeszcze u nas, za wyraz rozmaitych uczuć. Całowano na znak miłości, przyjaźni, uszanowania itp., i w historyi wszystkich narodów można znaleść najwyraźniejsze ślady tego zwyczaju.

Nam jednak nie chodzi tu wcale o psychologiczną analizę wszystkich rodzajów całusa; bo podzielamy najzupełniej zdanie Demokrita, że jedynym prawdziwym całusem jest i będzie zawsze p o c a ł u n e k m i ł o ś c i, który bez względu na czasy i zwyczaje zawsze był jednaki, i znajdzie zawsze swoich wielbicieli i zwolenników, gdzie tylko biją dla siebie dwa kochające serca. Przy dzisiejszej dewizie: „że całus uczciwy nikogo nie krzywdzi“ — nie bywa też i kradziony całusek tak bardzo źle widzianym. Ale przodkowie nasi nie znali żartu i w tym względzie, a dowodem tego są stare wilkirze i kodeksa, które skradziony całus karały surowo jako stuprum violentum implicitum (rodzaj szkaradnego gwałtu), a nawet zajmowały się kwestyą, czy dziewczyna, która się dozwala całować bez oporu, może z wieńcem mirtowym iść do ołtarza? Przestrzegano też bardzo surowo tego obyczaju; jak wiadomo, nie wolno było u nas nawet narzeczonemu całować przed ślubem w usta swojej bogdanki, a i same dziewice karciły nieraz n a m a c a l n i e choćby najdostojniejszego śmiałka za podobną kradzież. Dzisiaj — inne czasy, inne zwyczaje! — i grzeszna młodzież nasza (rozumie się rodzaju męzkiego) powinna gorąco dziękować losowi za tę zmianę, gdyż inaczej nie wyszłaby nigdy z pod kondemnaty, a co najmniej, chodziłaby zawsze z opuchniętą twarzą.

(D r o g i w i e c z o r b a l o w y). N. Andreoli, który przez kilka lat był na wygnaniu w Syberyi, opisuje w dziele pod tyt. „Souvenir de Sibirie“ swoje przygody w Syberyi i przytacza przytem rozmaite ciekawe szczegóły z kroniki skandalicznej moskiewskiego dworu. Między innemi opowiada on następujące — jak zapewnia — prawdziwe zdarzenie, którego początek sięga jeszcze do czasów panowania cara Pawła, a koniec należy prawie do teraźniejszości:

Car Paweł miał faworytkę, młodą aktorkę francuzką, o którą był bardzo zazdrosnym, jeżeli miał najmniejszy powód do tego. Pewnego wieczora był wielki bal w carskim pałacu, na który zaproszoną została także wspomniona aktorka. Car śledził ją pilnie oczyma, gdziekolwiek się zwróciła. Naraz dostrzegł zazdrosny wielbiciel z niemałem oburzeniem, że młody bojar, imieniem Łabanow, nadskakiwał jej z wielką grzecznością. Na pozór nie zmienił on humoru i bawił się jak najlepiej; ale przy końcu balu kazał aresztować Łabanowa i osadzić w cytadeli, mając zamiar potrzymać go tam dni kilka i wypuścić potem z ojcowskiem upomnieniem, a w najgorszym razie, jeźliby nie zaniechał swoich zalecanek do aktorki, pozbyć się rywala wygnaniem jego z Petersburga. Ale miłościwy car miał tyle kłopotów na głowie, że zapomniał zupełnie o Łabanowie. Po Pawle nastąpił jak wiadomo Aleksander I., ale tak on jak i następca jego, nezabuwenny Mikołaj, nie troszczyli się wcale o los nieszczęśliwego więźnia. Dopiero po śmierci Mikołaja uwolnił teraźniejszy car Aleksander II. wszystkich więźniów bez wyjątku z cytadeli. I oto znaleziono w jej podziemiach maleńką grobową ciemnicę, mającą 6 stóp długości a 5 wysokości, a w niej siwego starca, którego wynędzniała postać obudzała we wszystkich litość i przerażenie. Był to Łabanow. Nieszczęśliwy przeżył trzech carów, i dopiero czwarty powrócił mu wolność, którą postradał za jeden niewinny wieczor balowy. A jak ten czas przeżył! — więdnąc przez lat 50 w ciemnem, brudnem więzieniu, które było tak nizkie, że nie

mógł w niem stanąć, i tak szczupłe, że zaledwie miał się gdzie obrócić. Gdy go wypuszczono, nie mógł ani chodzić, ani mówić, a oczy jego, przywykłe do ciągłej ciemności, nie mogły znieść światła słonecznego. Umarł też w ośm dni po swojem uwolnieniu. Ale takie wypadki, których można liczyć na tysiące w dziejach caratu moskiewskiego, nie psują wcale ani snu ani apetytu władzcom Wszech Rossyi.

(Jeszcze jeden milioner.) Pisaliśmy już raz w zeszłym roczniku o największych bogaczach wszelkich narodowości, między którymi zajmował Rothszild dopiero jedenaste miejsce z kolei. Teraz donoszą dzienniki o nowym Krezusie, a raczej Nabobie indyjskim, którego majątek ma być tak ogromny, że nawet sam właściciel nie wie, ile posiada. Przytem ma on się różnić wielce od swoich rówienników, gdyż posiada znakomite wykształcenie, zajmuje się wszystkiem i podróżuje po całem świecie.

Niedawno zwiedzał Europę i bawił dłuższy czas w Londynie. Pewnego dnia kazał ogłosić w dziennikach, że pragnie jako badacz i turysta poznać najniebezpieczniejsze klasy ludu w Londynie. Zaprasza tedy wszystkich morderców, rabusiów, złodziei, w ogóle wszystkich, którzy utrzymują się przebiegłością lub gwałtem, ażeby zebrali się o godzinie 2. z północy na moście Black-Friars (najniebezpieczniejszy zakąt Londynu), gdzie przybędzie sam osobiście i na przyczołku mostowym przeliczy dziesięć tysięcy gwineów w złocie. Przedtem zaś założył się z pewnym milionerem niemieckim w swoim hotelu, że przy tej sposobności ani nie będzie okradzionym, ani też nie dozna osobiście żadnej przykrości.

Jakoż gdy Nabob w oznaczonym czasie pojawił się z workiem pełnym złota na moście, zastał już na nim do tysiąca dzikich, groźnych i zarośniętych drabów wszelkiego kalibru. Z największą spokojnością umysłu wszedł Indyanin pomiędzy nich, otworzył swój worek i liczył swoje gwiney kładnąc jedną obok drugiej na murze.

Oczy rabusiów błyszczały na widok złota; łapczywe ich ręce ściskały się łakomie; dzikie, przytłumione mruczenie dało się słyszeć na moście. Ale żaden z nich nie poważył się zbliżyć do muru, nikt nie przeszkodził Indyaninowi, którego złoto połyskiwało w świetle księżyca.

Potem nagle zaczął Indyanin zbierać swoje gwiney jedną po drugiej i wzrzucać napowrót do worka. A gdy już znikł ostatni pieniądz, wziął worek swój pod pachę i powrócił bez żadnej przeszkody śród zdumionego tłumu do powozu swego, który stał w pobliżu mostu.

— Wygrałem mój zakład — rzekł w hotelu do swego przeciwnika. Było ich najmniej tysiąc i dlatego właśnie nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Gdyby ich było dziesięciu, byliby mnie niezawodnie udusili i wrzucili do Tamizy; ale dzielić się z tyloma, nie opłaciłaby się fatyga, i gdyby jeden był się mnie dotknął, byliby się wszyscy rzucili na niego.

Wątpimy bardzo, czy który z europejskich Nabobów odważyłby się na taki zakład; żelazna kasa jest bezpieczniejszą, niż most Black-Friars.

(Szkaradzieństwa i zbrodnie sztuki kucharskiej.) Już nieraz odzywały się głosy przeciw „tuczeniu gęsi gałkami,“ nazywając to dręczeniem źwierząt; już dawno potępiono zwyczaj gotowania raków żywcem. Dawniej dopuszczano się większych jeszcze okrucieństw dla miłości brzucha, jak naprzykład smagając prosięta rózgami na śmierć, ażeby mięso ich było delikatniejsze; a i dziś jeszcze wlewa niejeden kucharz żywemu indykowi wrzące wino, zaprawione korzeniami do gardła, i przytrzymuje dziób tak długo, dopokąd biedne zwierzę nie zginie w jego ręku. Ale nigdzie nie jest sztuka kucharska tak wymyślną i okrutną, jak u Chińczyków, którzy są największymi smakoszami na świecie. Oto na przykład stawiają oni patelnię z masłem na ogniu, mając w pogotowiu rozmaite korzenie i przyprawy, jako to: pieprz, cynamon, sól itp. Potem biorą kurę, kaczkę lub gęś i trzymają żywcem nad patelnią, tak, że łapy dotykają się naczynia. Z wielkiego gorąca nabrzmiewają łapy i krew ściąga się do nich. Po dwóch lub trzech minutach maczają łapy w korzennych przyprawach, i znowu trzymają je nad patelnią. Po takiej kilkakrotnej operacyi zbiega wszystka krew z ciała do nóg, które napęcznieją do grubości kilku cali a zarazem przesiąkną korzeniami, i tak jadane bywają same jako największy przysmak. Inna recepta kuchni chińskiej jest następująca: W przyrządzonej umyślnie na to grubie glinianej zamykają żywe jagnię, wstawiając tam oraz kilka garnków z winem, octem, solą itp., a potem rozpalają wielki ogień pod spodem. Z gorąca dostaje biedne zwierzę wielkiego pragnienia i wypija wszystkie płyny znajdujące się w garnkach, poczem pada wycieńczone i w krótkim czasie wychodzi z pieca jako wyborna pieczeń.

W podobny sposób przyrządzają w Chinach także żółwiów, nastawiając je do ognia w garnku napełnionym wodą i zatkanym nakrywką z małym otworem, przez który żółw może zaledwie wystawić głowę. Gdy woda wrzeć zaczyna, korzysta naturalnie żółw z tego otworu, by się dostać głową na świeże powietrze, i wtedy poją go korzennym winem i innemi płynami, które on chciwie połyka. To pojenie trwa tak długo, dopokąd żółw ma siłę utrzymać głowę na wierzchu, a ponieważ zwierzę to bardzo wiele wytrzymać może, więc operacya ta kończy się zwykle dopiero wtedy, gdy żółw jest już zgotowany.

(Handel ludźmi.) W cesarstwie Brazylskiem (w południowej Ameryce), które ma wielką pretensyę do cywilizacyi europejskiej, kwitnie ciągle jeszcze niewolnictwo na wielką skalę; a ktoby wątpił o tem, niech zajrzy tylko do dzienników wychodzących w stolicy tego państwa, w Rio de Janeiro, a znajdzie tam codziennie mnóstwo ogłoszeń, tyczących się sprzedaży lub zakupna niewolników. Tak między innemi ostatni numer dziennika tamtejszego, „Journal do Commerc“, zawiera przeszło sto takich anonsów, z których przytaczamy tu najciekawsze. Oto np. oznajmia pierwszy: „Jest na sprzedaż kilku dobrych niewolników do robót wiejskich, także kilka czarnych dziewcząt z ładnemi twarzami.“ — Niektóre z tych anonsów zachwalają dobre przymioty wystawionego na sprzedaż towaru, jak na przykład: „Jest do sprzedania, dla prywatnej tylko familii, bardzo piękne dziewczę brunatne, które umie doskonale gotować i prasować bieliznę, posiada wielkie zdolności do dalszego wykształcenia i może być bardzo dobrą pokojówką.“ Inny anons opiewa: „Jest do nabycia czarny cyrulik, średniego wieku, który umie doskonale puszczać krew, stawiać pijawki i rwać zęby, a przytem bardzo jest czynny i może najlepiej

przydać się na wsi.“ Dalej wystawioną jest na sprzedaż matka afrykańska z 2 dzieci w ten sposób: „Piękna Murzynka z Minas, dobrego zachowania, i dwoje dzieci jej, milutka czteroletnia czarna dziewczynka, i ładny jedynastoletni brunatny chłopak, są zaraz do sprzedania.“ — Anonsy względem sprzedaży mamek są niezliczone. Jeden z nich opiewa: „Na sprzedaż doskonała służąca, Kreolka ośmnastoletnia, przepyszna mamka z obfitem, zdrowem mlekiem po pierwszem dziecięciu, wzorowych obyczajów.“ — I moznaż tu wierzyć, że człowiek jest stworzony na podobieństwo Boga?!

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ
Z ROKU 1868.

M. S. Kilka słów o zaprowadzeniu ksiąg hipot. w posiadł. włośc. Kraków 1868.
Bojarski. O sądach przysięgłych. Kraków 1868.
Czyrniański E. Rozwinięcie kryt. teoryi chemicznej. Kraków 1868.
Sprawozdanie z czynności Tow. lit. hist. Paryż 1868.
Lescoeur. L'église de Pologne. Paris 1868.
Berengier T. Les martyrs uniates en Pologne. Paris 1868.
Wielki obrazkowy sennik egiptski. A. D. Rzeszów 1868.
Wizja poselska. Lwów 1868.
Izba rękodzielnicza w Krakowie. Kraków 1868.
Brag M. Mały kominiarczyk. Powieść. Brodnica 1868.
O zasadach w układaniu dzieł elementarnych. Kraków 1869.
Uwagi o wykupnie prawa propinacyi. Stanisławów 1868.
Czpar K. Kongres europejski wobec ducha czasu. Poznań 1868.
Błoński R. Stan sprawy narod. w związku zc sprawą kościoła. Kraków 1868.
Ksiądz Leon kapucyn. Przemówienie przy żalob. nabożeństwie za duszę ks. Benj. Szymańskiego. Kraków 1868.
Kurs prakt. języka franc. podług zasad F. Ahna. Lwów 1868.
Siemieński. Wieczory pod lipą. Kraków 1868.
Welter. Dzieje pow. wyd. 2. tł. Sawczyński. Kraków 1869.
Schenkl K. Chrestomatya z pism Xenofonta. (Borzemski). Lwów 1869.
Dawik W. Metoda pocz. nauczania. Warszawa 1868.
Bellinger J. Rys geografii. Bochnia 1869.
Giorgi K. ks. Panegiryk na cześć św. Jozafata. Kraków 1868.
de Labadye A. Les martyrs de la Pologne. Paris 1868.
Pokorny A. Zoologia dla młodzieży, ułożył L. Rzepecki. Praga 1868.
Der Netzdistrickt. Bilder aus der Vergangenheit und Gegenwart. Bromberg 1868.
Stachurski P. Trójka. Powieść. 2 t. Lwów 1868.
Bolesławita B. Hybrydy. Powieść. Lwów 1869.
Koźmian A. E. Rok 1846. Dramat w 5. aktach. Poznań 1868.
Buszard L. Geniusz Grecyi i tegocześni malarze francuscy. Warszawa 1868.
Wilkońska P. Macocha. Powieść. Warszawa 1868.
Makowiecki. Spółki spożywcze. Warszawa 1868.
Leszek Janosza. Żywot św. Kunegundy. Dla ludu. Kraków 1868.
„ „ „ „ Kazimierza. „ „ „ „
Baraniecki. Studyum algebraiczne. Warszawa 1868.
Rzążewski A. Jan Gundulicz i poemat jego. Warszawa 1868.
Budziński T. Wykład porównawczy prawa karnego. Warszawa 1868.
Giller A. Polska w walce. Paryż 1868.
Mickiewicz A. Pierwsze wieki historyi polskiej. Paryż 1868.
Goldschmidt J. Córka handlarza. Warszawa 1868.
Karazowski A. Tabliczka dzielenia. Warszawa 1868.
Perraud A. ks. Głos pogrzebowy po Wład. jen. Zamojskim. Paryż 1868.

REBUS.



Rozwiązanie rebusu w zeszycie 3cim: *Nauka nigdy nie idzie w las.*

ZAGADKA GŁOSKOWA.

W trzech wyrazach jedno brzmienie —
Z główką zmienia swe znaczenie.
Jeżli stoi *k* na czele,
Jest w dzienniku, w piśmie, w dziele.
Gdy mu *m* na karku siędzie,
Wtedy stoi w imion rzędzie;
A gdy *w* na przedzie kroczy,
To za sobą wodę toczy,
Albo chodzi z bronią w ręku.
Ot jest sęk i dziura w sęku.

Rozwiązanie szarady w zeszycie 3cim: *Buraki.*

Poczta «Strzechy».

Panu *M. P. w Tarnowie*. Prosimy o stanowczą odpowiedź. — Panu *XX. w Krakowie*. Na podane warunki zgadzamy się i czekamy na resztę manuskryptu. — Panu *J. R. w Xiążu*. Poczyniliśmy już potrzebne kroki, ażeby zaległe zeszyty zostały niezwłocznie oddane. Panu *B. W. w Sączu*. Artykułu przysłanego nie możemy użyć.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER. Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO